

DEKRETU O POKOJU

odgłosy



Rok VI
Łódź, 10. XI. 63.
Nr 45 (297)
Cena — 1 zł.

ciąg
dalszy...

„WOJNA NIE JEST
NIEUNIKNIOMA,
MOŻNA DO WOJNY
NIE DOPUŚCIĆ,
POKOJU MOŻNA BRONIĆ
I GO UMOCNIC“.

(Z „Manifestu Pokoju“ adresowanego do ludzi dobrej woli wszystkich krajów świata, podpisanego przez przedstawicieli 81 partii komunistycznych i robotniczych w listopadzie 1957 roku w Moskwie).

DOKŁADNIE 40 lat wcześniej — 7 listopada 1917 r. zebrał się w gmachu Instytutu Smolnego w Piotrogradzie II Ogólnorosyjski Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Następnego dnia obrad Lenin zaproponował uchwalenie dekretu o pokoju według przygotowanego przez siebie tekstu. Słowa dekretu: „...rząd robotniczy i chłopski, stworzony przez rewolucję... proponuje wojującym narodom i ich rządóm niezwłocznie rozpocząć rokowania o sprawiedliwy i pokojny demokratyczny... Dalsze prowadzenie wojny rząd uważa za największą zbrodnię wobec ludzkości“ — miały od tej chwili towarzyszyć wszystkim poczynaniom Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej. Jeden z pierwszych dokumentów Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Pazdziernikowej proroctwo przewidywał, że przez najbliższe dziesiątki lat walka o pokój będzie głównym zadaniem Związku Radzieckiego i całego międzynarodowego ruchu robotniczego.

Realizacji tego doniosłego dekretu władza radziecka poświęciła wiele wysiłku. Już w najbliższych latach — 1918 — 1921 — z inicjatywy Lenina ogłoszono pod adresem państw kapitalistycznych co najmniej dwadzieścia pokojowych propozycji.

W r. 1922 komisarz spraw zagranicznych — Cziczerin po raz pierwszy wystąpił z oficjalnym wnioskiem na konferencji genueńskiej o zaakceptowanie zasady pokojowego współistnienia.

W r. 1927 po raz pierwszy na międzynarodowym forum padła propozycja powszechnego i całkowitego rozbrojenia.

Wtedy jednak o biegu wydarzeń nie decydował jeszcze świat socjalistyczny. Wówczas o losach świata, o wojnie i pokoju, rozstrzygający głos należał do krajów kapitalistycznych. Przewijający się czerwoną nicią w radzieckiej polityce zagranicznej postulat światowego pokoju pozostawał bez odpowiedzi. Radzieckie wołanie było przysłowiowym wołaniem na puszczy. Jaka cenę miała za to zapłacić ludzkość — wykazała późniejsza II wojna światowa, 34 miliony zabitych, 28 milionów okaleczonych, 935 miliardów dolarów bezpośrednio wydatkowanych na cele wojenne, jeśli ogrom nie-



ZBIGNIEW KOWALEWSKI

Od cangaceiro do Lig Chłopskich (1)

Wojna w Canudosie

Czy pamiętacie wyświetlany u nas przed paru laty brazylijski film Liny Barreto „O Cangaceiro“ (Bandyta)? Czy pamiętacie tę pełną romantyzmu opowieść o wielkich bezkresnych równinach północno-wschodniej Brazylii, o bandach „cangaceirów“ i o miłości? Pozostała po nim popularna do dziś piosenka. Kim byli owi niezwykli can-

gaceiros wędrujący w olbrzymich bandach wraz z rodzinami i grabiący miasta, owi ludzie wyjęci spod prawa, okrutni, wykleci i zbuntowani? Historia cangaceiryzmu, to opowieść o tragedii ludzi oszukanych, o tragedii mas chłopskich vegetujących bez perspektyw, chronicznie głodnych i niszczonej przez północno-wschodnią pracę, ludzi, którzy

porwali się do rozpaczliwego buntu i utworzyli zbrojne oddziały, by w końcu stać się narzędziem w rękach tych, przeciwko którym wystąpili — narzędziem feudalów. W tym potężnym ruchu, który przez 40 lat wstrząsał Brazylią było na pierwszy rzut oka coś, co upodabniało go do buntu Pugaczowa. Niestety, w ludzkiej pamięci canga-

ceiro pozostał synonimem bandyty.

Kilka słów o miejscu akcji: o sertanach północno-wschodu Brazylii. Sertany (sertao) to wielkie tereny wydarte puszczy, wypalone i zamienione w pola uprawne, które potem porzucono zamieniając w pastwiska i ugory. Dżungla dokonuje tu nieustannej inwazji, a owady i gady mnożą się jak nigdzie. Ziemię porzuconą przez feudalów szukających zysków gdzie indziej zajmowali chłopcy. „Walczyli z odrastającą puszczą — pisał J. Gitlin — budowali chatki, zakładali jakie takie gospodarstwa. Nagle okazywało się, że zlekceważone sertao nadaje się doskonale pod uprawę innych atrakcyjnych produk-

tów. I znów, prawem kaduka, obszarnicy wyrzucali chłopów przy pomocy wojsk i obejmowali ziemię w swoje posiadanie. Te modne uprawy to kolejno — drzewo brazylijskie, cukier, kawa, drzewo kauczukowe, bawełna...

Nie można jednak mówić o cangaceiryzmie, nie opowiedziawszy najpierw o wojnie w Canudosie.

Niepokoje wśród chłopów zaczęły się w latach 90-tych ubiegłego wieku i związane są z niezwykłą postacią Antonia Conceleiro. Ten biedak, sam z pochodzenia chłop, przez 20 lat przemierzał sertany głosząc Biblię

Dalszy ciąg
na str. 2

Dalszy ciąg na str. 2

Dokończenie ze str. 1

szczęść mierzyć tylko suchymi liczbami.

Wydawać by się mogło, że ta straszna lekcja i powtarzane we wszystkich językach świata: „Nigdy więcej” — wypalają po wsze czasy w umysłach ludzi myśl o nowej poździej wojennej. Rychło okazało się jednak, że tak nie jest. W nowych warunkach, kiedy na widownię wkroczyła broń nuklearna, Związek Radziecki proklamował więc dekretu o pokoju akt drugi.

zważy się, że równocześnie 1.700 milionów mieszkańców kuli ziemskiej nie dodają — ten wzgląd jest nader istotny, przecież jest jeszcze ważniejszy od niego. Tego, co pozostawiliby po sobie wojna termojądrowa na ziemskim globie, nie jesteśmy w stanie uzmysłowić sobie. 80 tysięcy ładunków nuklearnych spoczywających już obecnie w magazynach wielkich mocarstw, może zamienić świat w pustynię, z rzadka tylko zamieszkaną przez uratowanych od zagłady atomowej ludzi.

W takiej sytuacji walka o pokój, zapoczątkowana Wielką Rewolucją Październikową, nabrała nowego znaczenia. Tym bardziej, że socjalizmowi przybyło sił, że pod jego sztandarami znajduje się już czwarta część kuli ziemskiej, trzecia część ludzkości, a strefa pokoju objęła również kraje Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej... Dzie-

ONZ idei powszechnego i całkowitego rozbrojenia i przekazanie sprawy na płaszczyznę pertraktacji, pokojowe uregulowanie konfliktu karaibskiego jesienią ub. r. czy też podpisanie w Moskwie — 5 sierpnia br. — porozumienia o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, a następnie uzgodnienie stanowisk co do nieumieszczenia na orbicie ładunków nuklearnych.

Te wysiłki Związku Radzieckiego na rzecz pokoju i bezpieczeństwa, aktywnie wspierane przez kraje socjalistyczne i mające pełne poparcie w opinii publicznej — nie wszystkim są jednak na rękę. Nie wszystkie na przykład kraje przyłączyły się do układu moskiewskiego. Gorzej, że wśród oponentów znalazł się również rząd Chińskiej Republiki Ludowej.

Nie omawiając tu szczegółowo rozbieżności między KPZR i większością partii

ska. Czy trzeba udawać, że to, co głoszą towaryszowie chiński jest praktycznie odesiłem od leninowskich zasad pokojowego współistnienia?

Rozbieżności te, które na płaszczyźnie historycznej będą z pewnością tylko epizodem, nie mogą jednak w niczym podważyć wyprzedzającego z marksistowskiej analizy sytuacji zasadniczego wniosku, że wojnie można dziś skutecznie zapobiegać.

EWA SULIBORSKA



Łodzianie 1963

ZBIGNIEW KUŹMIŃSKI

„Niewielu ludzi — mówi Zbigniew Kuźmiński — wykonałby zawód, który był ich dziecięcym marzeniem. Jako uczeń bydgoskiej szkoły rozstrzygałem wszystkie spory dotyczące filmu, przez długie lata przechowywałem pragnienie posiadania własnego kina po to, by móc bez przeszkód, całym dniami oddawać się jednej z najbliższych pasji mojego dzieciństwa — filmowi. Wspominam to teraz z oczywistym sentymentem. Wyniesione z dzieciństwa zainteresowania zdecydowały o moim zawodzie, pasją wyrosła z zamienia się z czasem w naczelną sprawę w moim życiu.

„Tuż po wojnie, na przełomie 1945—1946 roku powstało w Krakowie przy Instytucie Filmowym Roczne Studium Filmowe. Zostałem jednym z jego słuchaczy. Studium miało przygotować młodą kadrę filmowców do pracy w mającym powstać w Polsce przemysle filmowym. Wykładano nam poza zagadnieniami związanymi z samym filmem, historię sztuki, historię dramatu, historię literatury itd. Wykładowcami byli: Ingarden, Kuźmiński, Tarkiewicz, Bohdziewicz, Jarosław Brzozowski. Studium to ukończyło około 30 przyszłych operatorów i reżyserów. Przyszłych — bo przygotowywano nas teoretycznie, nauki praktyczne mieliśmy pobierać już w czasie pracy zawodowej”.

w dobrze środków wyrazu. Co nie znaczy, bym wykluczał możliwość komponowania pięknych plastycznie obrazów, choć wydaje mi się, że w tym zakresie kompozycje w filmie, przez długie lata przechowywałem pragnienie posiadania własnego kina po to, by móc bez przeszkód, całym dniami oddawać się jednej z najbliższych pasji mojego dzieciństwa — filmowi. Wspominam to teraz z oczywistym sentymentem. Wyniesione z dzieciństwa zainteresowania zdecydowały o moim zawodzie, pasją wyrosła z zamienia się z czasem w naczelną sprawę w moim życiu.

„Film, choć jak każda sztuka jest kreacją rzeczywistości, kreacją mniej lub bardziej wierną, ma dzięki specyfice tworzenia łączącego ruchomy obraz z dźwiękiem — wyjątkową szansę rejestrowania zjawisk towarzyszących życiu. Możemy zapisać każdy, nawet najmniej ważny szczegół przekazać widzowi w jednej sekundzie obraz pełny, maksymalnie bogaty, wieloplane. Muszę powiedzieć, że najbardziej frapuje mnie w filmie ta możliwość zapisywania życia, ale nie tak jak zapisuje życie filmowy dokument. W filmie fabularnym można bowiem nie tylko życie zapisywać, można je komponować, podobnie jak to czyni pisarz, bo można wybierać różne jego elementy”.

DEKRETU O POKOJU

ciąg dalszy...

DEKRETU O POKOJU

ciąg dalszy...

jowa misja nowego ustroju zaczęła się wypełniać.

Aktywność pokojowej polityki Związku Radzieckiego znacznie wzrosła po roku 1953, a zwłaszcza po XX Zjeździe KPZR. Przyjęty w roku 1961 — przez XXII Zjazd — program określił problem wojny i pokoju jako podstawowe zagadnienie współczesności, rozstrzygając bliską wizję świata bez wojen.

Radziecka myśl o wyeliminowaniu z arsenału środków siły militarnej jako czynnika rozstrzygnięcia spornych kwestii — z dużymi oporami — ale przecież zaczęła sobie torować drogę w stosunkach międzynarodowych. Jej milowymi etapami było w 1960 roku przyjęcie przez członków

komunistycznych i robotniczych z jednej strony, a kierownictwem Komunistycznej Partii Chin z drugiej, co było przecież tematem licznych oświadczeń i publikacji, nie można nie wspomnieć, że są to wszystkie następstwa fałszywych poglądów właśnie na sprawę wojny i pokoju.

Niewiara w możliwość zapobieżenia wojnie, niedoczekanie konieczności postraktowania walki o pokój jako naczelnego zadania komunistów, niezrozumienie, że wielkich ruchów społecznych nie można orientować na alternatywne rozwiązania: wojna lub pokój, niezadawanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad światem, szczególnie z chwilą, kiedy energia jądrowa wzbogaciła środki niszczenia — oto źródła tego błędnego stanowi-

Wielkość Rewolucji Październikowej, jej światowe znaczenie można mierzyć różnymi miarami.

W ciągu niepełnego jeszcze półwiecza kraj, w którym według ostatniego przedrewolucyjnego spisu 76% ludności stanowią analfabeci — pierwszy wysłał człowieka w kosmos, skutecznie współzawodniczył w ilości produkcji przemysłowej z najbardziej rozwiniętymi krajami Zachodu, zdumiewa rozmachem budownictwa. Stał się wzorem dla narodów żyjących na różnych kontynentach świata.

Ten żywy przykład październikowej idei — to jedna z zasadniczych miar Rewolucji Październikowej. Dla milionów ludzi, mieszkających pod różnymi szerokościami geograficznymi, najczęściej jednak Związek Radziecki kojarzy się z walką o pokój, z jego nieprzejednanym stanowiskiem wobec tych wszystkich, którzy znowu chcieliby rozpałać niebezpieczne ogniska. Szczególnie ostatnie lata przyniosły aż nadto dowodów dobrej woli i gorącego pragnienia utrzymania pokoju przez Związek Radziecki. Kto ma oczy otwarte, komu nie przysłania prawdy antykomunizm — nie może tego nie zauważać, choćby jego przekonania dalekie były od idei Rewolucji Październikowej.

Dekretu o pokoju ciąg dalszy pisany jest codzienną praktyką jej spadkobierców. Jak bowiem stwierdził rząd radziecki w swym oświadczeniu z 20 września br.: „Pokój jest pierwszym warunkiem umocnienia i rozszerzenia pozycji socjalizmu na arenie światowej. Socjalizmowi wojna nie jest potrzebna”.

WIESŁAW BEK

Wojna w Canudosie

Dokończenie ze str. 1

i obiecując ludziom szczęście po śmierci, a jednocześnie nawołując do niewywiązywania się z morderczych powinności feudalnych. Sam osobiście palił nakazy podatkowe. Kresem wędrowki „proroka” była stara zdewastowana fazenda (folwark) Canudos w stanie Bahia. Folwark uległ upadkowi po zniesieniu niewolnictwa przed kilkunastu wówczas laty. Schroniły się tam tysiące bezrolnych rodzin chłopskich. Ta masa niefortunnych znalazła sobie wodza w Antonio Conceleiro. Jego zwolennicy zaczęli się zbierać; było oczywiście, że odmowa płacenia podatków spowoduje represje ze strony feudałów i władz. Tak też się stało. Oddział policji stanowej napadł na Canudos. Lecz zakoczeni zostali nie chłopi, a policja. Bojownicy „proroka” Conceleiro stawili niespodziewanie zbrojny opór i rozgromili policjantów. W Canudosie zapanował powszechny entuzjazm dla Conceleiro. Biblia i strzelba — stały się symbolem Canudosu.

Rząd federalny reprezentujący wówczas interesy latyfundystów nie zamierzał ustąpić. Na żądanie władz stanowych rusza przeciw buntownikom 500-osobowy korpus ekspedycyjny, który zostaje rozbity przed osiągnięciem Canudosu, a żołnierze wycofują się w nieładzie. Już rusza trzecia eks-

pedycja w sile 1300 ludzi dowodzona przez chwala wojenną okrytego płk. Moreira Cesara, zasilona przez baterię artylerii i szwadron jazdy. Po uciążliwym marszu przez półpustynne okoliczności Cesar doznał do wzgórz otaczających Canudos i nakazał otworzyć ogień. Odwet chłopów był natychmiastowy. Po kilku godzinach kontratak oberwanych i bosych tłumów płk. Cesar padł martwy, a jego armia rzuciła się do bezprzykładnej ucieczki. Porzucono broń i amunicję, nawet armaty. Ponieśli śmierć wszyscy kolejni dowódcy korpusu.

Nastąpiły wielkie dni Canudosu. Conceleiro rozdał ludności zdobytą broń. Nie starczyło jej dla 20 tysięcy powstańców, ale uczyli się nią władać wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci. Trwały przygotowania obronne. Sypano szańce wokół wyzwolonego terytorium. Canudos stanowił naturalną fortecę górska. Do trzech do niej można było tylko ścieżkami na skraj przepaści. Antonio Conceleiro posiadał w ręku jeszcze jeden pierwszorzędny atut, którego nie był niestety w stanie wykorzystać: zdobytą artylerię. Nie było nikogo, kto by nauczył chłopów prowadzenia ognia artyleryjskiego. Armaty stały się tylko bezużytecznym rekwizytem.

Rok 1897. Czwarta ekspedycja karna przeciw Canudosowi. Przygotowano ją

bardzo pieczołowicie, bo na feudałów brazylijskich padł strach. Stawa Antonio Conceleiro i jego powstańców była w sertainach powszechna. Spodziewano się masowego buntu. Nim to nastąpiło — trzeba zniszczyć jego zarzewie, Canudos. Do walki rusza przeszło 4 tysiące żołnierzy uzbrojonych w zębą pod dowództwem trzech generałów rozporządzających dwudziestoma działami. Po tem drugi rzut — dalsze 4 tysiące żołnierzy. Ostatnim natarciem dowodził sam minister wojny, marszałek Bittencourt. Ale do ostatniego natarcia jest daleko.

Pośród wzgórz Canudosu wybuchają niezwykle zaciekłe walki. Bój toczy się tu dosłownie o każdą piędź ziemi: chłopcy nie opuszczają swoich pozycji, walczą wszędzie do końca. Tam, gdzie nie ma frontu, działają partyzanci: zasadzki, niespodziewane ataki, masowe akty bohaterstwa jednostek. Wojska rządowe ponoszą coraz większe straty i przez kilka miesięcy nie posuwają się o krok.

Tymczasem plonie już zapalenie armii. W sertainach chłopcy chwytają za broń i w wielkiej masie ruszają na folwark. Zdobywają 60 fazend! Wojna na północnym wschodzie z dnia na dzień zatacza coraz szersze kregi. Akcja solidarności dosięga wielkich miast, wstrząsa sumieniem szczególnie młodzieży. Uczniowie szkoły wojskowej w Rio de Ja-

neiro blokują magazyny broni przeznaczanej dla armii pod Canudosiem. Studenci wydziału prawa w Bahii wysuwają ostre żądania zakończenia masakry chłopów.

Tak, masakry. W Canudosie rozgrywa się już ostatni akt straszliwej tragedii. Przez kilka miesięcy dzień i noc 5 tysięcy gnilianych lepiank i drewnianych chałup znajdują się pod bezustannym ostrzałem artyleryjskim. W Canudosie panuje piekło. Na dobę ginie kilkaset ludzi. Nie ma czasu, miejsca i ręk do grabienia trupów. Nie ma snu, nie ma jedzenia, nie ma wody, nikt nie opatrzy rannych, nie ma czym odychać, rozrywające się pociski nie przebierają. Lecz nie ma też mowy o poddaniu się. Kogo nie sięga kula, ten ginie pod gruzami swojego domu, mrze z głodu, wyczerpania, pragnienia, zarazy, popada w obłąkanie. Niewielkie grupki przerywają zwarty kordon wojsk i z bronią w ręku uchodzą w sertainy...

W końcu giną ostatni obrońcy. Armia triumfalnie wkracza do Canodusu. Zastaje paru dogorywających powstańców, trochę obłąkanych kobiet i dzieci oraz zwłoki 30 tysięcy zabitych. Rannych, kobiety i dzieci natchmiast rozstrzelano albo powieszono.

Była to najstraszliwsza zbrodnia popełniona przez konający już wówczas feudalizm brazylijski. Lecz ferment posłany w sertainach przez Antonio Conceleiro i grupki tych, którzy uszli z życiem, nie wygasł przez następnych lat czterdzieści. Więcej: ten ferment trwa do dziś.

ZB. KOWALEWSKI

„Reżyseria filmowa — mówi — czego u nas zbyt często się nie docenia, to w ogromnym stopniu znajomość filmowego warsztatu. Można wyobrazić sobie oczywiście, są na to dowody, interesujący film awangardowy, którego twórcą ma kiepskie pojęcie o reżyserkim rzemiośle. Trudno wyobrazić sobie jednak, by ten sam twórca mógł sięgać po tak trudne gatunki filmowe jak film obyczajowy, czy komediowy. Reżyseria filmowa, wymaga szeregu umiejętności począwszy od pracy nad scenariuszem, poprzez inscenizację, znajomość pracy z aktorem filmowym, montaż, aż po to co nazywamy chyba talentem”.

Kuźmiński, choć współpracował z Buczkowskim, Rybkowskim, Bohdziewiczem, jest uczniem Forda. Był jako asystentem przy wszystkich filmach, także i przy „Krzyżakach”, realizowanych po wojnie przez tego reżysera. I to uczniem, jak zaświadczają dwa zrealizowane przez niego samodzielnie filmy godnym mistrza. Zrealizowany po „Młoczących śladach” — „Drużgi brzeg” pozwolił już mówić o indywidualności artystycznej tego ciekawie zapowiadającego się reżysera. O dojrzałości nie tylko jego warsztatu, ale o konsekwentnie realizowanej linii poszukiwań artystycznych.

„Nie lubię — mówię — tego co zwykło się określać jako barok filmowy. Nie lubię nadmiernej estetyzacji, ani traktowania obrazu filmowego jako okazji do demonstrowania pięknej fotografii, czy kontemplacji formy przedmiotu. Nie interesuje mnie w filmie ani impresjonizm, ani symbolizm. Myślę, że film jest sztuką przede wszystkim realistyczną. Istotne powinny być przekazywane treści. Im należy podporządkować formę. Wydaje mi się, że w sztuce filmowej rozumianej jako sztuka realistyczna obowiązuje prostota, oszczędność, nawet surowość

„Widzę ogromne związki między filmem, a literaturą, szczególnie literaturą powieściową. Może dlatego taką wagę przywiązuję do słowa. Filmowiec jak pisarz ma jeden przedmiot badań — człowieka. Chciałbym swymi filmami móc przekazać nie tylko obraz człowieka współczesnego, ale też i moją o nim wiedzę — myślę, że w jakimś sposób udało mi się to osiągnąć w filmie „Mój drugi ożenek”.

Zbigniew Kuźmiński odzna czony Honorową Odznaką m. Łodzi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski na leży do tych twórców filmowych, którzy podejmują problematykę współczesną.

„Myślę — mówię — że za mało pamiętamy o tym, że prawdziwie wielka sztuka była i jest sztuką narodową. Ze za mało wagi przykładamy do tych elementów naszego życia, naszej struktury psychicznej, które poświadczają ciągłość na nas tradycje i kultury. Nie rozumiem krytyków, którzy zalecają obce wzory i zapominają o tym, że wzory te są w warunkach naszego ustroju i obyczajowości często nie do przyjęcia. Ze tu pewnie niewiele znacza, niczego nie poświadczają”.

„Sztuka zaangażowana, to jak sądzę sztuka podejmująca problematykę istotną dla naszego życia społecznego. Film zaangażowany, to film o tej ziemi, o tych ludziach”.

Kiedy otwarto w Łodzi Ośrodek Telewizyjny Kuźmiński był jednym z pierwszych jego naczelników reżyserów. Zrealizował wtedy kilkanaście widowisk m. in. „Mur” Sartre’a, „Jest tam kto” Saroyana „Wzgórza jak białe słonie” Hemingwaya. „O święcie” Paustowskiego. Wdowiedz, które należą do historii łódzkiej Ośrodka. Niedawno zrealizował widowisko „Wielki Bobby” według sztuki Gruszczyńskiego. w zeszłym sezonie teatralnym zadebiutował jako reżyser teatralny inscenizując w Częstochowie sztukę Przeddzielekiego „Dzień oczyszczenia”. Ma też na swoim artystycznym koncie kilka filmów dokumentalno-oświatowych.

Niebawem — mówi Zbigniew Kuźmiński — chyba w styczniu wejdzie na ekrany moji ostatni film w/g nagrodzonej przez Ministra Kultury i Sztuki powieści Józefa Mortona „Mój drugi ożenek”. Pracuję teraz nad scenariuszem w/g książki zupełnie młodego autora Zbigniewa Kiwki. Mam oczywiście pomysły innych filmów. Ale po myślowi się nie zdradza.

Nowe filmy radzieckie

Wśród najnowszych pozycji kinematografii radzieckiej, aktualnie wyświetlanych na naszych ekranach poza omówionymi już na łamach „Odgłosów” filmami: „Ludzie i bestie” Gierasimowa, „Haszek i jego Szwęk” Ozierowa, „Siedem nianiek” Bykowa, warto polecić naszym Czytelnikom interesujący dramat obyczajowy „GWIAZDZISTY BILET”, wg powieści Wasyla Aksjonowa. Trudny temat współczesny, dotyczący radzieckiej młodzieży, jej życiowych doświadczeń zyskał bardzo wiele w filmie reż. Aleksandra Zarchi, przede wszystkim dzięki bogatemu materiałowi obserwacyjnemu, realistom radzieckiej rzeczywistości, w których rozgrywa się akcja filmu zawierającego w swej fabule oprócz elementów wychowawczych, również bardzo potrzebny element intrygi, a nawet sensacji. Historia trzech chłopców i dziewczyny, używających swobody i tzw. „pełni życia” w formie ucieczki ze szkoły i z domu jest realna i nieciągła. Dobrze naszkicowane portrety młodych bohaterów, przedstawicieli młodzieży radzieckiej, tej na co dzień, nie od święta i nie na wielkie uroczystości — to dalsze plusy omawianego filmu. Reż. Zarchi, znany jest w Polsce jako autor filmu „Pod chmurami”.

Pod względem formalnym powtarza, niestety, te same błędy warsztatowe, jak zbyt długie ujęcia, przegadane dialogi, co bardzo osłabia tempo narracji filmowej i jej potoczność. Zasluga reżysera jest jednak oprócz podjęcia interesującego tematu także umiejętność dobrej pracy z aktorami, z których na szcze gólne wyróżnienie zasługuje uroczą Ludmiłą Marzenko, znana u nas m. in. z filmu „Tania i jej matka”. Partnerami jej są Aleksander Zbrujew, Oleg Dal, Andriej Mironow, którzy wywiązali się z

swego zadania interpretacji wcale nielatwych, bardzo do brze.

Filmem „pełnym wiary w człowieka” można także określić adaptację powieści Ruwima Frajermana „DZIKI PIES DINGO”, którą zrealizował Julij Karasik, autor filmu „Czekajcie na listy”. W tym filmie adresowanemu może do nieco młodszego widza, aniżeli omówiony wyżej „Gwiazdzisty bilet”, reż. Karasik, dał bardzo sugestywny obraz ewolucji uczucia wśród — nastolatków. Zagadnienie należytej kultury uczuć, wrażliwości młodzieży jest sprawą ciągle aktualną, napawającą troską pedagogów i opiekunów. Toteż „Dzikiego psa Dingo” należy traktować przede wszystkim, jako film wychowawczy, skierowany do określonego adresata, a co za tym idzie operujący uogólnieniami i skrótami dostępnymi dzieciemu, młodocianemu widzowi. Skrótami, które choć mogą razić widza dorosłego pewną dozą zbyt wielkiej dosłowności, są w tego gatunku filmie ciągle użyteczne. O wartościach wychowawczych, jak i artystycznych filmu reż. Karasika, świadczy Grand Prix na tegorocznym Festiwalu Filmów Dziecięcych w Wenecji oraz „Złota gałązka” — nagroda włoskiego Ośrodka Filmów dla Młodzieży przyznana filmowi radzieckiemu za „bogata treść wychowawczą i wyraźną znakomitą językiem filmowym”.

Od czasu do czasu na ekranach kin pojawiają się filmy dokumentalne, pełnometrażowe. Po ostatnio wyświetlanym, znakomitym filmie dokumentalnym produkcji szwedzkiej „Ludobójcy”, na ekranach wyświetlany jest radziecki film dokumentalny „ZWYCIĘSTWO NAD WOLGĄ”, zrealizowany przez znaną dokumentalistkę radziecką M. Sławińską, autorkę dokumentu o pracy radzieckiej stacji naukowej na Biegunie

Północnym — „376 dni na dryfującej krze”. Tematem nowego filmu Sławińskiej jest historyczna bitwa pod Stalingradem. Autorka filmu wykorzystowała olbrzymi materiał dokumentalny w postaci zdjęć archiwalnych, dokonanych w czasie bitwy przez 150 radzieckich operatorów frontowych, wśród których wiele po legło w czasie realizacji. Film Sławińskiej zawiera także materiały archiwalne, nakrecone przez operatorów Wehrmachtu. Chronologicznie oglądamy dzieje jednego z najkrwawszych epizodów drugiej wojny światowej, ujętych przez Hitlera w słynnym planie „Barbarossa” mającym służyć „rozbięciu Związku Radzieckiego w trakcie krótkotrwałej kampanii”. Pierwsze partie filmu poświęcone są genezie tego epizodu, olbrzymiej koncentracji sił hitlerowskich. Większa część filmu ukazuje zmagania wojenne, daje relacje filmowe z najcięższych punktów walki na przedpolach miasta, na ulicach, w domach; ukazuje heroizm żołnierzy, rewelacyjną obronę i wreszcie skuteczne przeciwnatarcie przegradzające się w okrażeńie wielkiej armii marszałka Paulusa. Film świetnie zmontowany ze stał umiejętnie skomentowany piórem Aleksego Surkowa, jednego z czołowych poetów i prozaików radzieckich. Do dać należy, że Surkow sam uczestniczył w ostatniej wojnie, jako korespondent wojenny prasy radzieckiej.



Claudia Martin — córka popularnego aktora Deana Martina — debiutuje w filmie.

MARIA KORNIATOWSKA

ROSSELLINI o sztuce filmowej

Francuski miesięcznik filmowy „Cahiers Du Cinema” opublikował tekst wywiadu przeprowadzonego przez współpracowników tego czasopisma z wybitnym włoskim reżyserem, twórcą dzieł tej miary co „Rzym, miasto otwarte”, „Paisa”, „General della Rovere” — Roberto Rossellini. W ubiegłym roku Rossellini oświadczył dziennikarzom, iż zamierza zakończyć swą karierę artysty-filmowca. Nie zerwie wprawdzie całkowicie z filmem, lecz poświęci się działalności dydaktyczno-pedagogicznej, właśnie za pośrednictwem kina. W wywiadzie udzielonym „Cahiers Du Cinema” znakomity reżyser stara się wyjaśnić przyczyny, które skłoniły go do powzięcia tej decyzji. Rzecz przy tym szereg interesujących uwag dotyczących miejsca i roli artysty w dzisiejszym świecie, charakteru sztuki współczesnej itd. Uznaliśmy za stosowne zapoznać naszych czytelników z fragmentami wypowiedzi Rossellini, która uznajemy za głos w toczącej się u nas w kraju dyskusji na temat współczesnej sztuki.

„Cała sztuka dzisiejsza — mówi Rossellini — staje się z każdym dniem bardziej infantylna. Ten infantylizm widoczny jest zarówno w nowej powieści, jak i w malarstwie. Doszliśmy do całkowitej pustki. I to w świecie dnia na dzień poważniejszym i bardziej złożonym”. Ponieważ świat ten został stworzony przez ludzi, musimy go akceptować mimo ubolewań w rodzaju: „Zmie rządy do powszechnej zagłady... bomba atomowa itd.”. Dziś sztuka to albo narzekanie albo okrucieństwo...”

A jakżeż np. spekuluje się na temat niemożności porozumienia się, alienacji itd. Rozprawia się o tym,

o dziwo, z ogromnym upodobaniem... Dzisiaj narzekanie uchodzi za awangardowość. Ale narzekanie nie oznacza wcale krytyki, która jest już przyjęciem jakiejś postawy moralnej. Jeżeli odkrywamy nagłe, że można się utopić wpadając do wody i zaczynamy codziennie wrzucać ludzi do wody po to, żeby wiedzieć, iż zanurzeni w wodzie mogą się utopić, to dajemy tym świadectwo własnej podłości. Ale jeżeli spostrzeżemy, że ludzie, którzy wpadną do wody toną, zaczynamy uczyć się pływać, by móc im przyświecić na ratunek, wtedy nasza postawa nabiera zupełnie innego charakteru. Dlatego właśnie postanowiłem zakończyć mą dotychczasową karierę filmową. Będę kręcić teraz przede wszystkim rzeczy o charakterze dydaktycznym”.

Na uwagę współpracowników „Cahiers Du Cinema”, że dydaktyzm i sztuka nie stanowią dobrej pary, Rossellini oświadcza:

„Gwiżdżę na robienie sztuki. To oznacza rezygnację z wielu rzeczy. To oznacza przyjęcie postawy moralnej, śmiem powiedzieć — heroicznej. Każdy człowiek instynktownie stara się wyrazić siebie. Ja zaś będę starał się wyrazić nie siebie, lecz po prostu stać się użytecznym. Użytecznym z ludzkiego punktu widzenia. Kontynuując mój poprzedni przykład uważam, że moim obowiązkiem jest nauczyć się pływać i stać się nauczycielem kąpielących...”

Następnie Rossellini mówi o kryzysie sztuki współczesnej związanym z ogólnym kryzysem cywilizacji.

„Sztuka, aby stać się sztuką musi posiadać język, musi wyrażać rzeczy zrozumiałe dla przeciętnego odbiorcy. Bez tego staje się

całkowicie abstrakcyjna... Dziś brakuje nam nie tylko idei czy języka, ale wprost słownictwa a nawet alfabetu. Aby stworzyć dzieło użyteczne trzeba więc ustalić litery alfabetu. Nie chodzi o przetworzenie sztuki, ale o jej odnalezienie. Aby zaś odnaleźć sztukę — trzeba uczynić wielki wysiłek zmierzający do przywrócenia języka. I w momencie, kiedy zostanie on przywrócony, kiedy każde słowo odzyska swój sens, swą wartość, kiedy stanie się owocem głębokiej myśli, wówczas znów będzie można podjąć wszystkie formy sztuki. Jest to więc sprawa niesłychanie ważna.

W dalszym ciągu wywiadu Rossellini wypowiada się na temat stosunku artystów do świata nauki i techniki.

„Traktujemy dziś świat nauki i techniki z pogardą, jako coś nienawistnego i zgnębionego, coś co prowadzi do zagłady całej ludzkości. A czy uczyniliśmy cokolwiek, aby zrozumieć, z moralnego punktu widzenia, to zjawisko, które jest wszak częścią naszych czasów, naszej cywilizacji? Czy uczyniliśmy cokolwiek, aby wnikać w jego istotę, partrycypować z nim, i znaleźć w nim źródła emocji konieczne dla tworzenia sztuki? Istnieje ogromna przepaść między ewolucją techniczną stanowiącą o rozwoju ludzkości a artystami, którzy ongi byli przeciwieństwem do wzięcia udziału w tej ewolucji, do przyswojenia jej, do dodania jej blasku i wspaniałości. A tylko w tym przypadku odkrycia często techniczne zyskują swoje precyzyjne znaczenie i dopiero wtedy można naprawdę mówić o cywilizacji...”

Pszczoła lata nad kwiatem, zbiera pyłek, przetwarza go i z pyłku powstaje

miod. Jednocześnie zapładnia ona inne kwiaty. Jej rola jest pełna i wieloraka — taka jest prawdziwa funkcja artysty. Jeżeli artysta przestaje latać i siedzi, utyskując na kwiaty, że mu się już nie podobają, to kwiaty nie zostaną zapłodnione i zapanuje śmierć. A sztuka nie jest śmiercią, sztuka jest życiem. To życie, to sposób uwieczniania życia, nadawania sensu rzeczom, sposób budzenia uczuć i entuzjazmu. Kiedy sztuka lubuje się w zabijaniu uczuć, w odbieraniu życia wszystkiemu co witalne, to nie jest to już sztuka...

Dzisiejsi artyści za szczyt swej postawy moralnej uważają mówienie o niemożności porozumienia się, o alienacji, czyli o sprawach absolutnie negatywnych. Rozumielibym nowoczesnego artystę, który mówiłby:

„Technika stała się przyczyną alienacji wielu jednostek. Przyczyna trudności we wzajemnym obcowaniu ludzi, ale równie dobrze można nie ulec alienacji i równie dobrze można obcować i porozumieć się z innymi”. Przewyciężając rzeczywistość, znajdując nowy język — oto prawdziwe zadanie artystów... W każdym zjawisku ludzkim, jeśli popatrzyć na nie z sympatią, musi się odkryć coś żywotnego, coś twórczego. Z tej prostej przyczyny, że jeśli jest ono ludzkie, to tym samym jest żywotne i twórcze”.

odgłosy str. 3

EKRANIK

★ Po bardzo ostrych głosach prasy o kreacji aktorskiej Elizabeth Taylor w „Kleopatrze”, również następnym film „Bardzo ważne osobistości” nie przyniósł popularnej aktorce spodziewanych laurów. Pismo „Variete” tak ocenia grę popularnej Elizabeth: „Pani Taylor chwilami wygląda ładnie i ma nawet dobre momenty dramatyczne, ale nie usprawiedliwia okazywanej jej gorącej miłości dwu partnerów”.

★ W Japonii, jednym z nielicznych krajów największej produkcji filmowej od trzech lat obserwuje się kryzys filmowy. W roku 1961 wyprodukowano 535 filmów, w 1962 — 375, zaś do końca roku bieżącego nie przewiduje się więcej niż 300 filmów.

★ Luis Daquin, znany reżyser francuski, autor cieszącego się powodzeniem w Polsce filmu „My, urwisy”, przy stał do realizacji kolejnego filmu o dzieciach, którego akcja toczy się w czasie wakacji letnich „Targ na raki”.

★ Olbrzymi sukces starych filmów Greta Garbo w Londynie spowodował wycofanie się wytwórni hollywoodzkiej MGM z obietnicy sprzedaży filmów z popularną aktorką dla telewizji. Po doświadczeniu londyńskim sta re filmy z Greta Garbo zostaną rozpowszechniane w kinach.

★ Znane z lat trzydziestych filmy niesamowite, jak „Frankenstein”, „King-Kong”, „Mumia” obecnie uzyskały swoją kontynuację w kinematografii amerykańskiej, która serijnie produkuje nowe typy filmów niesamowitych. I tak na przykład w Stanach Zjednoczonych wyświetla się wielki program, złożony z fil-

mów: „Wilkołak w spjalni dziewcząt”, ten zatytułowany, jest „Nerwo-rama”.

★ Naczelny redaktor znanego miesięcznika „Films and Filming” — Peter Baker, zamieścił we wrześniowym numerze sprawozdanie z Festiwalu Filmów Dziecięcych w Wenecji. Stwierdza on między innymi: „Odnosi się wrażenie, że Czesi i Polacy po prostu nie potrafili zrobić z tych filmów dla dzieci”. Zamierzalem potraktować film dziecięcy jako sjęstę przed właściwym festiwalem i poświęcać ich sledzeniu tylko jedno oko. Jednakże z dnia na dzień, to, co zapowiadało się jako nudny obowiązek przekształciło się w prawdziwą rewelację. Pisząc o rewelacji miałem na myśli, nie tylko filmy, ale także reakcje dziecięcej widowni, wysoce krytycznej w sposób jakiego bardzo rzadko spotyka się u dorosłych, skupionej i uważnej, pełnej subtelności w odbiorze przyzwychnych zdarzeń”. W dalszym ciągu swego sprawozdania Peter Baker poświęca kilka uwag filmowi Jana Batorego „O dwóch takich, co ukradli księżkę” — „...włoskie dzieciaki — tłum małych skrzatów siedział z zapartym łchem i szeroko rozwartymi oczyma, by po skończonej projekcji wybuchnąć wrzaskiem uznania, jaki się słyszy tylko na stadionie w Wembley”.

★ Popularny tygodnik amerykański „Time” w jednym z ostatnich numerów poświęcił obszerny artykuł sytuacji współczesnego filmu na świecie. M. in. w artykule tym pisze się o polskim filmie „Nóż w wodzie”: „...Polański to już bezsprzecznie w pełni ukształtowany twórca... reżyser (30 lat), wsadza na łódź troje ludzi i rzuca im nóż. Przez następne 90 minut napięcie wzrasta, wzrasta. Film ostry jak nóż i gładki jak spokojna toń wody”. Cytując fragment z amerykańskiego artykułu o polskim filmie wy pada stwierdzić, że powodzenie w USA „Noża w wodzie” nie stanowi dla polskiej kinematografii zaskoczenia.

A. N.

Pytacie się o dziekanych ludzi? Czy są tacy wśród nas? Czy są bohaterowie pozytywni? Pytacie się o kronikę naszej fabryki? Kronika fabryki — to część kroniki mojego miasta. Historia naszych towarzyszy, to także fragmenty historii naszego miasta. Dokumentów do tej historii znajdziecie wiele. Ja natomiast tylko do niektórych. Pokazuję mi te najnowsze: oto gazeta i felieton o jednym działaczu z Łodzi. „Prawdziwy nauczyciel — humanista łączy problemy wychowania, historię i literaturę ze swą pracą społeczną, wzbogacając ją w ten sposób o nowe wartości”. Zasłużony działacz kultury, odznaczony wieloma wysokimi państwowymi odznaczeniami, obchodził w tym roku trzydziestolecie swojej pracy społecznej, twórczej. Należy więc do tego pokolenia, które przed wojną nazywało się „młodym”. Pytacie się — do jakiej tradycji można nawiązać działalność waszego bohatera? Zresztą słusznie uważaliście — wasz działacz nie jest wyjątkiem. Gazety niemal codziennie przynoszą wzmianki o ludziach wyróżniających się swą pracą, poświęcających swój czas dla dobra społecznego. Dzisiaj można już z całą pewnością mówić o powszechności tego zjawiska — porozmawiajcie tylko z nauczycielami, opiekunami społecznymi, niektórymi milicjantami, wymierzcie ich czas przeznaczony na sprawy osobiste i społeczne obojętne. Pytacie się więc o tradycję?

Czy pamiętacie jeden z najstarszych druków, który robotnikom wpadł do ręki „na drugi dzień” po pierwszej wojnie? Wy nie pamiętacie, jak do dziś przechowują ten wyblakły już druk, odezwę KC KPRP. Umieję ją na pamięć. Jest „Polska Niepodległa”, pisano w niej. Jest Sejm w Warszawie, jest rząd polski. A gdzie się podziała Ojczyzna? Właśnie, gdzie się wówczas podziała Ojczyzna. Pamiętam, nasza fabryka była nieczynna. Komin sterzał w górę jak uschnięty kikut. Nie unosił się nad nią dym. Wiosną 1919 roku zarejestrowanych było w Łodzi 150.048 osób bezrobotnych. A ile było niezarejestrowanych? Byłem bez pracy, bez chleba, w kieszeni miałem tylko tę odezwę naszej partii. Zadrukowaną kartkę zamiast kromki chleba. Wtedy te słowa: gdzie się podziała Ojczyzna, kto ją nam zgubił, kto ją nam zabrał, utkwiły w moim sercu jak cierni. Obiecywano nam (złotanemu ludowi), że byle tylko poszły z Polski rządy obce, zawita do nas wolność, dobrobyt i szczęście powszechne. Rządów obcych nie było, ale Ojczyznę zabrał nam panowie (pisano w odezwie) pozostawiając ludowi roboczym nędzę i niewolę. Czym się różnił ówczesny rząd polski (pytano) od rządu carskiego? W Rosji przegnano carów, a u nas jak za carskich rządów lała się krew robotnicza.

No więc pytacie się o te tradycje. O naszą kronikę. Czy nie należałoby nawiązać do tych cichych rozmów, które prowadziliśmy z towarzyszami, kiedy pytaliśmy się, gdzie nam się podziała Ojczyzna? Czy opowiadać o tych towarzyszach, którzy ginęli po więzieniach, do których strzelano? Wokół tych, którzy zginęli, narodziła się legenda. Legenda otoczyła i nas wszystkich, którzy w tych ciężkich dniach nie zważając na szkany, wyrzucania z pracy, więzienia, otwiera-

liśmy sobie i towarzyszom oczy na rzeczywistość, w której żyliśmy. Nie wszystkim można teraz dokładnie odtworzyć. Uciekają niektóre nazwiska. Popadły się niektóre dokumenty. Więc to co zostało, musicie uchronić od zapomnienia. Każdy najmroczniejszy i na pozór „suchy” fakt, notatka, o aresztowaniu, zaginięciu, procesie, kryje w sobie ludzki dramat, wyciskający łzy z oczu i wołający o pomstę. Nie zapominajcie o dramacie naszych ludzi. Nie zapominajcie o ich historii. Czy przypominacie sobie bitwę, która rozegrała się we wrześniu 1919 roku na Placu Wolności między bezrobotnymi a policją? Padło wtedy 5 zabitych (tragiczna dla nas cyfra) i 47 rannych robotników. Ze strony policji został jeden zabity i 32 rannych. Czy ta bitwa nie mówi o naszych tradycjach? Kto w niej nie brał udziału? Kto wówczas nie krzychał: „Pracy i chleba dla robotników!” Ta bitwa udowodniła mi moją prawdę. Jest Polska Niepo-

średniej styczność z manifestantami”. A po drugiej stronie szły wezwania „do wszystkich, którzy walczą i cierpią w Polsce dzisiejszej, którzy szukają ochrony przed panującym w niej uciskiem, do tych, którzy zawiedli się w swym przeświadczeniu, że Polska odrodzona będzie Polską demokracją i rządów ludu, którzy drżą dzisiaj o jej los i byt przyszły... do wszystkich wydziedziczonych i pokrzywdzonych, do szerokiej warstwy ludności objętych wrzemiem i trwogą o jutro...”. Tę drugą stronę zaprezentowała przede wszystkim KPP. Jak pisze jeden z autorów wspomnień o strajkach łódzkich włóknarzy: „W takich olbrzymich zakładach, jak Scheibler i Grohman, Widzewska Manufaktura, Biedermann czy Kindermann... wystarczyło kilku oddanych towarzyszy partyjnych, aby porwać całą załogę”.

W wybaczenie, ale wzmianka o naszym działaczu zmusiła mnie do pokazania tych naszych tradycji. W tych dniach listopadowych, kiedy obchodzimy rocznicę Rewolucji, trzeba pamiętać o historii tych, którzy walczyli o Polskę sprawiedliwą, którzy w walkach z białogwardziastami w dalekich stepach rosyjskich szukali polskiej ojczyzny, kupczony i sprzedawanej przez możnych. Macie rację, i ta wzmianka o działaczu, który ma za sobą trzydzieści lat pracy, zostanie kiedyś włączona do rejestru naszego miasta. Bieliński pisał kiedyś, że do poetyckiego odtworzenia rzeczywistości nie wystarczy tylko wrodzony talent: poeta musi mieć również pod ręką poetycką rzeczywistość. Na tę naszą poetycką rzeczywistość składają się nie tylko dokonania i przeobrażenia dzisiejszego dnia, ale także i nasza tradycja. Nikt już teraz nie zapyta: „Gdzie się podziała nasza Ojczyzna?”. Nasza Ojczyzna tam, gdzie były serca łódzian — rewolucjonistów biorących udział w Rewolucji Październikowej: Banachów, Brylskich, Bończyków, Czechów, Cimków, Kalliszewskich, Kopierów, Makutynowiczów, Topolskich i innych.

Nasza Ojczyzna tu, gdzie biją serca wszystkich społeczników, działaczy politycznych, kulturalnych, nauczycieli, chłopów, robotników, także waszego działacza z TPPR Władysława Strzeleckiego, pracującego w oświacie i kulturze — który jak powiadać, żyją „poetycką rzeczywistością”, wszystkich, których znamy i których nie znamy. Jedną z bohaterów Gorkiego, Sokolowa, powiada o własnym synu: „On jest rewolucjonistą, jak wszyscy uczelwili ludzie w Rosji”. O takich, jak wasi bohaterowie, trzeba pisać: Oni są rewolucjonistami jak wszyscy uczelwili ludzie w Polsce.

1924 roku (w odezwie strajkowej) czytaliśmy: „Położenie robotników z dniem każdym się pogarsza i staje się nie do zniesienia. Związek klasowy widząc to zwrócił się z żądaniem o podwyższenie zarobków robotnikom o 15 proc. Żądania nasze przemysłowcy odrzucili bez względu... nie mamy innego wyjścia, jak przystąpić do walki, ze strajkiem...” dalsze rozdziały: strajki u Scheiblera i Grohmana w lutym i marcu 1925 roku; strajk powszechny włóknarzy w marcu 1927 roku. Czy mam cytować dalej? Czy znowu mam cytować wypowiedzi robotników, fragmenty ich pamiętników, skarg?

Są dwie tradycje, dwie kroniki. W jednej znajdują się zapisy w rodzaju takich: „Wszystkim funkcjonariuszom policji biorącym udział w zarządzaniach zmlerzających do utrzymania ładu i bezpieczeństwa publicznego... wyrażam podziękowanie. W szczególności wyrażam swe uznanie tym oddziałom policji pieszej i konnej oraz szkole okręgowej, które znajdowały się w bez-

„A gdzie się podziała Ojczyzna?”

1924 roku (w odezwie strajkowej) czytaliśmy: „Położenie robotników z dniem każdym się pogarsza i staje się nie do zniesienia. Związek klasowy widząc to zwrócił się z żądaniem o podwyższenie zarobków robotnikom o 15 proc. Żądania nasze przemysłowcy odrzucili bez względu... nie mamy innego wyjścia, jak przystąpić do walki, ze strajkiem...” dalsze rozdziały: strajki u Scheiblera i Grohmana w lutym i marcu 1925 roku; strajk powszechny włóknarzy w marcu 1927 roku. Czy mam cytować dalej? Czy znowu mam cytować wypowiedzi robotników, fragmenty ich pamiętników, skarg?



Radca ambasady ZSRR w Polsce Wasyl Owezarow, Władysław Strzelecki, sekretarz ZW TPPR w Łodzi, Stanisław Kuras, inspektor szkolny i przewodniczący ZP TPPR w Brzezinach. Powitanie w Szkole Podst. nr 2 w Brzezinach.

List z „Pociągu Przyjaźni”

Jesień w Leningradzie

Urzekająca jest jesień w Leningradzie. Urzekająca jest Neva. Rzeka, nad którą stoją pałace, jakich pozazdrościć może nawet Wenecja.

A więc to jest ta Neva, nad której brzegiem szukają natchnienia poeci, a kompozytorzy układają w myślach pierwsze tańce swoich utworów. I wreszcie rzeka, na której wodach oglądamy najszlachetniejszy statek świata „Aurora”.

Jest piękny dzień jesienny. Na kamiennych ławkach siedzą ludzie. To miłośnicy swego miasta codziennie delektują się przepiękną panoramą Leningradu. Na samej rzece niewiele o tej porze się dzieje. Czasem przeleci błyskawicznie ślizgacz, to znów zakotłuje się kajak. Prawdziwy ruch na Newie rozpoczyna się dopiero w nocy. Po to by zobaczyć otwierające się mosty — warto przyjechać do Leningradu choćby na jedną noc.

Prawdziwy moskwietażnik nie pozwoli opuścić swego miasta, jeżeli nie zaprowadzi was wieczorem na Wzgórze Leninowskie, by pokazać światła Moskwy. Leningradzicy zaś zawiadają was w nocy nad Newą, by pokazać otwierające się mosty. O północy Newski Prospekt oddaje pierwszeństwo rzece — Newie.

Ale teraz jest południe i na rzece króluje tylko jeden statek — „Aurora”.

Zawsze na kilka dni przed rocznicą październikową — słynny krajoznik poddawany jest zabiegom kosmetycznym. Niedawno zakończono malowanie statku. Na pokładzie pachnie jeszcze farbą. Mimo gorących porządków — statek jest udostępniony dla zwiedzających. Po mostku łączącym „Aurora” z lądem, przewija się wielobarwny tłum turystów i młodzieży szkolnej. Na pokładzie witają ich marynarze — przewodnicy. A potem rozpoczyna się relacja — jak to zwykle z przewodnikami bywa: „Aurora” zakupiona została w roku...” itd., itd.

Przed oczyma zwiedzających, jak w kalejdoskopie, przewija się dzień po dniu — historia Rewolucji Październikowej.

— Jakże miał położenie statek, z którego działa padły pierwsze strzały? — dopytują się uczniowie, którzy tu zapewne biorą lekcję poglądową z dziejów swego kraju. Przewodnik odpowiadają.

— Tam padł pierwszy pocisk na Smolny. Zresztą będziecie dziś zapewne zwiedzać Smolny, stamtąd jest lepsza widoczność.

Niebawem poszczególne grupy zwiedzające Leningrad spotykają się w hałtu pięknego pałacu — Smolnego. Ścisł nie do opisania. Odbija się tu rendez-vous turystów z całego świata. Dziś w Smolnym znajduje się — tak jak dawniej — siedziba Partii. Są dwa skromne pokoje w obrzymim budynku. W nich mieszka Lenin. Dwa żelazne łóżka, szafa, biurko, a na nim telefon. Wszyscy ci ludzie, którzy stoją teraz w korytarzu w kolejce, przybyli tu z całej Europy, by zobaczyć jak mieszkał wódz Rewolucji Październikowej.

Smolny opuszcza się w zadumie, nawet pulsujące życie codzienne miasta nie od razu wciąga w swój wir. A tu czekają jeszcze uroki Ermitażu, teatrów i Filharmonii. Mieszkańcy Leningradu lubią teatr i muzykę. Spróbujcie się jednak dostać do Filharmonii — szczególnie teraz, gdy gościnnie dyryguje Igor Strawiński!

Gdy zapada zmierzchnie ludzie ustawiają się w kolejce po bilety na koncert, który odbędzie się następnego dnia. Ci, którzy nie mają szans zobaczenia Strawińskiego przy pulpicie dyrygenckim, przychodzą pod hotel, gdzie mieszka wybitny kompozytor.

Nie miałem oni czasu ani siły by całą noc stać po bilety do Filharmonii — wieczór ten spędziłem na spotkaniu przyjaźni, Leningradzkie Towarzystwo Przyjaźni z Polską zorganizowało w Domu Kultury wieczór, na którym z największą serdecznością przyjmowano przedstawicieli „Pociągu Przyjaźni” przybyłego z Polski. Szczerą, sympatyczną atmosferą sprzyjającą wymianie myśli, wspólne występy artystyczne — a później zabawa — w pełni zadowoliła i gości i gospodarzy. Pragnę tu dodać, że uczestniczyłem jeszcze w kilku takich spotkaniach w czasie pobytu w Związku Radzieckim. Z oznakami serdeczności Polacy spotykają się w ZSRR na każdym kroku.

Sa w Leningradzie i Moskwie fabryki, gdzie całe załogi należą do Towarzystwa Przyjaźni z Polską. Tych właśnie ludzi spotykaliśmy wszędzie na trasie „Pociągu Przyjaźni”. Przychodzili uściśnić dłoń, obdarzyć kwiatami, porozmawiać.

W trzecim dniu pobytu w Leningradzie delegacja „Pociągu Przyjaźni” złożyła wieńce na grobach poległych w czasie ostatniej wojny.

Wstrząsające wrażenie robią te bezimiennie, nie kończące się groby poległych żołnierzy i ludności cywilnej. Leży tu ponad pół miliona ludzi, którzy zginęli podczas blokady tego miasta. Historia walk mieszkańców Leningradu przeciwko hitlerzomowi odtworzona została w dokumentach i fotografiach. Można je obejrzeć w Mauzoleum.

By poznać dzisiejszy Leningrad, trzeba w nim zamieszkać. By solidnie zwiedzić Ermitaż potrzebna kilka dni — a my mamy na to zaledwie kilka godzin. Odbija się więc oszalająca gonitwa z jednej sali do drugiej, z jednej epoki w inną. Trzeba więc na coś się zdecydować. Wybieram malarstwo. A w tym najwybitniejsze dzieła sztuki Leonarda da Vinci, Rembrandta, Tycjana oraz bogaty zbiór malarstwa współczesnego.

Dopiero wieczorem w pokoju hotelowym można zebrać wrażenia, ale sen niebawem położy kres trudom dnia.

Jutro będę już w Moskwie. Trzeba więc jeszcze raz wyjść na ulicę Leningradu, na Newski Prospekt. Obejrzeć wystawy sklepowe, zmieszczę się z tłumem ludzi, o co zresztą wcale nie jest trudno, gdyż w godzinach wieczornych odnosi się wrażenie, jak gdyby cztery miliony mieszkańców Leningradu — nagle znalazły się na Newskim Prospekcie. Jeszcze raz odetchnąć powietrzem Newy — zejść kamiennymi schodkami nad sam brzeg rzeki...

BERNARD SZTAJNERT jest pisarzem średniego pokolenia, urodził się w Łodzi w r. 1927. Debiutował w roku 1958 tomem wierszy *Chwila ahistoryczna*. Jest autorem tomu opowiadań *Tajemnica Maxa Hellera* i cyklu powieściowego, w skład którego wchodzi *Narodziny Brunona Bundera*, *Ulica Wileza* i ostatnio ukończona i jeszcze nie wydana powieść *Grupa Pięciu*. Ostatnio ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego nowy tom wierszy B. Sztajnera *Odwrocony kamień*.

BERNARD SZTAJNERT

Szanowny Redaktorze

pytasz mnie jak oceniam dorobek łódzkiego środowiska literackiego w dwudziestolecie powojennym, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich lat?

Bardziej odpowiednio dla mnie jest pytanie jak odczuwam i przeżywam...

Przed przeżywaniem i odczuwaniem książek przeżywałem i odczuwałem rzeczy nie będące książkami, ale stanowiące przyczynę sprawczą i warunki umożliwiające powstanie poszczególnych książek — fragmenty łódzkiej rzeczywistości zespół „książkowych” przyczyn i „książkowych” możliwości.

Oto łódzkie podwórka — te na Piotrkowskiej i na Głównej, oto sklepy i biura, małe warsztaty i wielkie fabryki, oto szkoły i cmentarze. W istnieniu w przeszłości, a także w przekształcaniach tych obiektów należy upatrywać rozwój sił książkotwórczych. Architektura nowych osiedli i agonia drewnianych domków Widzowa. Organizacja pracy, zdobywcze i kłeski socjalne — oto baza radości i lęków współczesnego człowieka — kształt domu, w którym zamieszka nowy lokator, określa kształt jego uśmiechu, określa wzrost i nerwowość, a także zdolność do śmiechu i do lęku dzieci nowego lokatora. Rzeczy te określają także do pewnego stopnia konstrukcje powstających książek, określają także w jakimś przybliżonym stopniu pilność i lenistwo czytelników.

Przeżywałem i odczuwałem wiele z wierszy Stanisława Czernika, tom lirycznej prozy Tadeusza Chróściewskiego, ostatnie powieści Leona Gomolickiego, na zawsze pozostające w pamięci moich uczuć kilka wierszy Jerzego Waleńczyka. Nie potrafię zapomnieć prozy Andrzeja Brychta, Brychta, który jest największym wzgardzicielem i zarazem największym czcicielem wśród młodych. Widzę i czuję Nowy Klasyzm Jarosława Marka Rymkiewicza, a także to wszystko

pragnienie napisania wiersza doskonałego, najpiękniejszego i najprostszego, przeżywam ten wiersz na nowo w momencie przed pisaniem każdego wiersza. Jest taki poemat Mariana Piechala o płonącym zamku — każda pieśń poematu zaczyna się od słów „Tej nocy spać nie mogłem...” I ja kiedyś, przed laty, długo nie spałem po przeczytaniu tego poematu. Jest dla mnie i dla wielu powieść Konrada Frejdlicha gdzie rozpętana została do mocy żywiołu obsesja sądenia, winy i sprawiedliwości.

Przeraża mnie zupełny w naszym środowisku brak ostrej, fachowej, krytyki literackiej, brak krytyki normatywnej, krytyki postulującej. Dlaczego tak mało uczyniliśmy dla pozyskania dla naszego ośrodka pióra Lecha Budreckiego. Dlaczego Jerzy Panasewicz zadawała się pisaniem popularnych recenzji w prasie codziennej — dlaczego już po pierwszych krokach porzucił pióro krytyka-maksymalisty? Dlaczego umniejszamy zdolność pojmowania czytelnika? Dlaczego zakładamy tak głęboką, kompletną niewiarę w jego uczucia i inteligencję? Dlaczego? Dlaczego?

Pytasz mnie co sądzę o roli pisarza w Łodzi i jak widzę własny udział w życiu miasta?

Nie mogę tych spraw sądzić — usiłuję je czynić i zbliżać się do ich pojmowania.

Pisarstwo jest sprawą odwagi wyobraźni — jest porządkiem i siłą oczyszczającą życie z chaosu i lęku — każda literatura godna tej nazwy była humanistyczna, każdy prawdziwy humanizm chlubił się literaturą.

Większość mieszkańców naszego miasta to robotnicy, a więc ludzie przywykli do maszyn, do stałego dynamicznego, spoiściego układu jakim jest czynna maszyna. Stąd robotnicy są znacznie bardziej predestynowani do pojmowania żywych, rosnących kompozycji jakimi są dzieła literackie, niż ludzie rekrutujący się ze sfer drobniomieszczańskich, czy inteligentkich, ludzie, którzy muszą w sobie indywidualnym wysiłkiem przewyciężyć nawyk do czysto formalnych, skrótowych konwencji. Robotnik jest człowiekiem konkretem — literatura jest właśnie mową konkretnych obrazów, a nie pojęć — form namacalnych, a nie oderwanych. Kto ośmiela się twierdzić, że robotnik nie pragnie kontaktu ze współczesną sztuką, wulgaryzuje rzeczywistość, gardzi robotnikiem, usiłując go umniejszyć, wulgaryzuje marksizm.

Wiele razy miałem sposobność obserwowania audytorium robotniczych z uwagą wysłuchujących trudnych wierszy młodych poetów. Zmęczeni pracą ludzie z szorstką powagą starali się wyważyć trudne zagadnienia współczesnej sztuki — nawet poprzez gniew okazywali żywe głębokie zainteresowanie. Mam z robotnikami bezpośrednie kontakty, mam częste źródłowe informacje o ich rzeczywistych gustach i problemach, nie mam podstaw do mniemania, że moi koledzy są gorzej poinformowani niż ja. Nie interesują nas pouczenia demagogów i pospolitych szalbierzy, którzy niekiedy chcą stawać pomiędzy nami a czytelnikami. Mamy kon-



„Książki” — olej

Zdzisław Pałowski malarz Ziemi Łowickiej

Zdzisław Pałowski obchodzi 30-lecie swojej twórczości. Jest łowiczanie i wychowankiem łowickiego gimnazjum. Studiował malarstwo w Warszawie. Interesuje go pejzaż, architektura zabytkowa, człowiek. Łowicz i okolica zwłaszcza Arkadia, w której nasycił się wyosobnieniem i urokiem ciszy, dominują w jego twórczości. Poważną część swego dorobku plastycznego wraz z domostwem stracił artysta podczas bombardowania Łowicza w 1939 roku. Spaleniu uległy wtedy jego oleje, akwarele i szkice ołówkowe z wędrowek turystycznych po Pomorzu, Wołyniu, Podolu oraz regionie łowickim. Zastąpiły je później nowe z Kielecczyzny, woj. łódzkiego, z Podlasia, Lubelszczyzny, z Gdańska, Torunia i Plocka oraz Ziemi Odzyskanych.

Martwa natura jak kwiaty, owoce, porcelana, tkanina, sprzęt, książki i pamiątki obok kronikarskich notatek i impresji malarskich z codziennej nośi rodzinnego miasta i okolicy, więc ruch uliczny, praca w warsztacie czy w polu, znajdują pełny wyraz w jego twórczości. Osobliwość stanowią szkice z wydarzeń i życia okupacji, typy przechodniów, jeńców, wysiedlonych, ofiar łapanek budujących schrony i okopy, tabory, transporty, martyrologia getta. Artysta rzeźbi w glinie, drzewie, uprawia snycerkę. Modeluje i projektuje pomniki poległych, epitafia i krzyże nagrobne, tablice pamiąt-

kowe dla udokumentowania fundacji czy uroczystości. Planuje cmentarze wojskowe, projektuje sztandary z arotami, odznaki, plakety, dekoracje wystaw, pawilony, targowe i kiermaszowe kioski, wnętrza, meble i detale wystrojów, freski, witraże, okładki i okładowy albumów oraz książek i broszur, ilustracje, winy i iniejały literackie. Rytuje i wycina ekslibrisy dla bibliotek i osób prywatnych, oraz sygnety drukarskie. Projektuje katalogi i prospekty, programy imprez, pocztówki, dyplomy, zaproszenia i plakaty, ozdoby reklamowe i drobna grafikę okolicznościową, pieczęcie, dekoracje teatralne, kostiumy aktorów czy kukielkowe, wzory

wielniaków księżackich, miejskich tkanin odzieżowych i dekoracyjnych. Oddzielna pozycja stanowią sceny rodzajowe, portrety Książaków, rzemieślników i urzędników, postaci historycznych, członków własnej rodziny i znajomych, a odznaczają się one podobieństwem i maestrią. Miniaturę prezentuje popiersie Chopina i gen. Kłickiego.

Weześnie i ofiarnie zaangażował się w pracę społeczną. Doczekał się wywiadów prasowych, radiowych, nagrody wojewódzkiej, zainteresowania i wdzięczności ze strony władz i społeczeństwa. Brał udział w wystawach krajowych.

Początkowa twórczość Pałowskiego znamionuje wpływ szkolnych wskazań wynikających z obcowania z martwym jedynie modelem, z powierzchownej obserwacji zjawisk oraz uczniowskiego pojmowania prawdy i widzenia rzeczywistości, a więc kultu naturalizmu. Studia akademickie pogłębiają jego świadomość i rzemiosło, bogactwo środków wyopowiadania się artystycznego, ale i obciążają reminiscencjami podjęty temat, uprawianą formę i technikę ujawniając ślady wpływu pedagogicznych i twórczości prof. J. Szperbera, M. Schulza, Kędzierskiego, Kowarskiego, Jastrzębowski i Pękalskiego. Niebawem zdobył całkowite wyzwolenie się z tych sugestii mistrzowskich a drogą wysiłków i poszukiwań artystycznych, dopracował się własnego stylu. A to wszak osiągnięcie nie lada. Wystawa jubileuszowa w Łowiczu następcza okazje zaobserwowania i prześledzenia przemian twórczych i osiągnięć artysty.

Z. M.

WYSTAWA TADEUSZA ROMANA



Interesujące miękkie pejzaże Tadeusza Romana miłośnicy malarstwa nieraz oglądali na okrogłych wystawach ZPAP. Ten typ malarstwa ma swój bardzo szeroki krąg odbiorców. Świadczy o tym uwagi, jakie wpisują zwiedzający do księgi wyłożonej na wystawie prac tego interesującego malarza. Na ekspozycji w salonie wystawowym BWA przy ul. Piotrkowskiej 102 artysta zgromadził około 30 pejzaży i aktów. Te pierwsze przeważają i to chyba dobrze. Roman w pejzażu bowiem czuje się najlepiej. Nie mam tu jednak na myśli wyłącznie pejzaży wiejskiego. Jakkolwiek „Lućmierz” spowity w barwy jesieni, czy nastrojowe

zamglone pejzaże górskie robią naprawdę wrażenie, to jednak Roman potrafi także uchwycić i oddać na płótnie charakterystyczne piękno pejzażu miejskiego orzylczonego blokami kamienic.

Z miejskich pejzaży artysty najcenniejszy jest chyba obraz zatytułowany „Łódź, ul. Armii Czerwonej” — aż dziwne, że nikt go dotychczas nie kupił. A zakupiły sporo, i to zarówno instytucje jak i osoby prywatne. To też w końcu świadczy o tym, że tego typu malarstwo piękne i pełne urzekających barw, tworzone jest nie w wieży z kości słoniowej, a wśród ludzi i z myślą o nich.

J. W.



co w tym poecie jest z wszelkim starym i nowym klasycyzmem sprzeczne — widzę wyznawany przez niego klasycyzm i ogarniający go, wiecznie żywy romantyzm. Czuję i przeżywam romantyzm Marka Wawrzekiewicza. Jestem za prozą Zbigniewa Nienackiego — każdy tom tej prozy jest ambitniejszy od poprzedniego — jestem za jego dramata. Jestem za wierszami Zbigniewa Kosińskiego, za jego oryginalną wyobraźnią, za jego poetyckim dowcipem. Jestem za jesieninowską liryką wierszy Jerzego Wilmańskiego. Jest taki wiersz Jana Koprowskiego, który przenikliwie wypowiedział

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zespoły były różne: bardziej i mniej ambitne, z wielkim zapalem do pracy i małym, silnym w postanowieniach osiągnięcia wysokiego poziomu i słabe. Te z małymi ambicjami, szybko wypalającym się zapalem i w postanowieniach poczynionych sobie niewytrwale, istniały nie dłużej niż dwa, czasem rok, potem rozwiązywały się błyskawicznie, a dziś słuch po nich już zaginął. Ale nie wszystkie kończyły swą karierę na proscim jednym, lub dwóch, nie wszystkie na paru zaledwie spektaklach. „Pstrąg”, „Cytryna”, „Balet” i „Chór” Politechniki, „Estrada Poetycka”, „Teatr Próby” — powstały dawno temu i przetrwały do dziś, mimo okresowych niepowodzeń, trudności.

Całe szczęście, że przetrwały. Można mieć pewność, że nie rozleciały się teraz — zahartowane w walce — z byle powodu; z tej racji w prasie, przeszłościowego kryzysu czy finansowych kłopotów. Całe szczęście, że przetrwały. Zna je dzisiaj cała Polska — nie tylko studenci — znają je za granicami kraju „Pstrąg” — nestor łódzkiej teatru studenckiego i w 1964 roku obochodząc będzie uroczyste dziesięciolecie swego istnienia. W dziesięciolecie tym za wybitne osiągnięcia artystyczne zdobył „Pstrąg” niejedną poważną wyróżnienie, niejedną poważną nagrodę. Dwa razy reprezentował kulturę studentów polskich za granicą (był w Tuluzie i Parmie). Dwa razy oficjalnie, jako „Pstrąg”, nieoficjalnie więcej niż dwa razy: tego lata ekipa piosenkarzy „Pstraga” odwiedziła Francję po raz drugi.

Istniejąca od sześciu lat „Cytryna” (zespół utworzony przez studentów Akademii Medycznej), Teatr Próby z

trzyletnim stażem, „Balet” i „Chór” Politechniki, Estrada Poetycka — te też spisywały się dzielnie i w Łodzi i w innych miastach Polski, i za granicą („Cytryna” grała w Jugosławii). Te też zdobywały nagrody, wyróżnienia.

Na ilość zespołów studenckich w naszym mieście narzekać — uważam — nie należy. Niechaj tylko te, które aktualnie istnieją cieszą się zdrowiem, a już będzie dobrze. Ponoć jednakże nie najlepiej z tym zdrowiem. Narzeka nawet „Cytryna” — nawet sam „Pstrąg”. Mawia się

mają rodziny, muszą zarabiać, myśleć poważnie o życiu, muszą więc powoli, ale stety, kontakt z teatrem amatorskim tracić. Ale swojego czasu zrobili dla niego dużo. Czasem tak dużo, że widzą, pamiętając na przykład najlepsze programy „Pstraga” — potrafili skrzywić się dziś niezadowolony i zaopiniować: „na psy zjeżdżają”, „Dwa lata temu byli lepsi”.

Tak, może dwa lata temu byli rzeczywiście lepsi. Zgodzić się z tym ostatecznie można, ale trudno się zgodzić z takim akurat po-

teatry i zespoły odniosła jeszcze niejedną wielki sukces przy udziale i tych, którzy dopiero zaczęli terminować, którzy stawiają na scenicznych deskach pierwsze nieśmiałe kroki.

Inny, poważny błąd tkwi w opinii, iż została już w 100 proc. wyeksploatowana tematyka studencka, że nie nowego nie można o środowisku napisać. W tym przekonaniu tkwią nie tylko łódzkie, ale wszystkie teatry studenckie w Polsce, które podobnie jak „Pstrąg” czy „Cytryna” sięgają, w obawie

Od początku roku akademickiego odbywają się w „Klubie 77” w każde niedzielne popołudnie koncerty solistów będących słuchaczami PWSM. Zapewne właśnie popołudnia muzyczne stały się powodem powstania rozsądnego i zupełnie możliwego do zrealizowania projektu akcji umykalniania studentów. Autorem projektu jest dyrektor administracyjny Filharmonii Łódzkiej, Jerzy Piątkowski — były przewodniczący Rady Okręgowej ZSP, działacz niezwykle dla kultury studenckiej zasłużony. Na mocy porozumienia Klubu z Filharmonią „w niedzielnych popołudniach” występować będą bezinteresownie soliści orkiestry filharmonicznej w zamian za to ZSP zajmie się rozprowadzaniem wśród młodzieży ulgowych biletów na koncerty filharmoniczne, które będą urządzane przede wszystkim z myślą o studentach i uczniach. Jerzemu Piątkowskiemu i innym współdziałającym w akcji umykalniania należą się wielkie słowa uznania, tak jak wielkie słowa nagany należą się studentom Jazz-Klubowi, bo skoro mowa o muzyce, wypada poruszyć kwestię jazzu, a także Jazz-Clubu podobno istnieje, ale choćby tygodniami nie penetrował wnętrza budynku przy ul. Piotrkowskiej 77, na żaden jego ślad nie trafisz. To, że nie trafisz, nie jest winą ZSP, które z radością powitałoby każdy dobry studencki zespół, jest winą sama jazzmanów czy może kłezmerów, którzy w kawiar-ni mają swoją giełdę, zaś w nosie muzykowanie dla idei. Fakt faktem, że jedyny obecnie, znany w całej Polsce, zespół łódzki to Tiger-Rag. Ten choć półstudencki i młody występuje pod egidą ZMS. I niestety, żadnej konkurencji ze strony Jazz-Clubu studenckiego spodziewać się w najbliższym czasie nie może.

Wszystko o zakażach (III)

STUDENCI a KULTURA

popularnie: „Kryzys”. Przyczyną jego jest rzekomo proces powolnego zatracania kon-taktu z grupą znanych już dziś szeroko autorów tekstów, kompozytorów, artystów — twórców, którzy w studenckich zespołach doskonalili się w artystycznym rzemiośle, osiągnęli bliski zawodowemu, często nawet wyższy poziom, którzy zdobywali w akademickich zespołach popularność — tzw. nazwisko, tzw. markę, którzy zaczęli w końcu — i nie w tym dziwnego — pracować dla innych instytucji: radia, teatrów zawodowych, telewizji. Niezwykle zerwali z „Pstrągiem” czy „Cytryną”. Pisują jeszcze od czasu do czasu, komponują. Ale ani wielkiej energii, ani wyeksploatowanej gdzie indziej inwencji włożyć w przygotowanie nowego programu już nie potrafią. I trudno ich za to winić. Są już dorośli,

dejeściem do problemu, że jeśli teraz nie „gra”, to znaczy, że zjeżdżają na psy, że nie pracują. Amatorskie zespoły mają prawo a nawet muszą ulegać co jakiś czas kryzysom. W nich ani aktor, ani tekściarz czy kompozytor pieniędzy za swą produkcję nie dostają, w nich utrzymanie na stałe kadry dobrych artystów jest niemożliwe. I dobrze, że tak jest. Wszak teatr studencki to szkoła, przez którą winni przechodzić coraz to inni ludzie. Pogodzimy się z tym w końcu, że starsi, rutynowani będą odchodzili, że przychodzą będą młodzi, niedoświadczeni, ci ostatni z biegiem czasu dorównają poziomem tym, co odeszli. Zwrot „zjeżdżali na psy” teatru studenckiego dotyczyć się nie może. Z całą pewnością należy oczekiwać, że zarówno „Pstrąg”, jak i inne wymienione wyżej

przed powtarzaniem się, do coraz to innych, pozastudenckich tematów. Dobrze, że nie zasklepiają się wyłącznie w kręgu spraw studenckich. Że natomiast, że w ogóle zaryczyli w swych programach poruszanie kwestii środowiska, które w końcu reprezentują. I nieprawda, jakoby nie już o studentach ciekawego napisać nie było można. Na fałszywą tę opinie wpływ mają znowu stare kadry. Nie mogły one przez pięć czy sześć lat pisać tylko o akademikach, stołwach, klubach i obyczajach studenterii, i nikt by nie mógł tak długo. Ale wystarczy poszukać nowych tekściarzy, autorów piosenek, kompozytorów. Ci, choć bez rutyny, a może właśnie dlatego, potrafią spojrzeć na studenckie podwórko w sposób ciekawy i oryginalny jeszcze wiele razy.

OSIP MANDELSZTAM

Przełożył Tadeusz Chrościelewski

Ja słowo zapomniałem, choć ustami już złożył.
Ślepa jaskółka wraca do paladium cieniów.
Na skrzydłach odrzeczonych z przejrzystymi krańców.
Pieśń ponoć rozbrzmiewa w bezpamiętności.

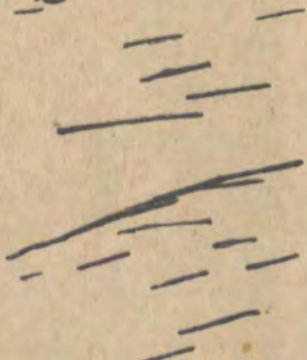
Nieśmiertelnik nie kwitnie, piak nie woła w chruszczach.
Przejrzystogrzywny tabun nocy znika.
Po suchej rzece płynię łódka pusta.
Słowo się bezpamiętni przy pasikonikach...

I rośnie pomarańcze, na kształt igły, celili...
To wnet się przeobrazi w obłądną Antygone.
To znów martwą jaskółką pod stopy się ścieili,
Ze stygijską miękkością — to różdżką zieloną.

Gdyby wstyd wrócić przenikliwej dłoni!
Gdyby wypuścić radość od poznania!...
A tak się boję zawodzeń Aonid,
Mgły, dzwonu, w otchłań spadania.

Zaś śmiertelnym jest dana moc kochać i wiedzieć,
Im dźwięk spod palców w muzykę się zmienia...
Lecz zapomniałem, co chciałem powiedzieć —
Ślepa myśl wraca do paladium cienia.

Ala nie o tym powiada przejrzysta —
Jaskółka, przyjaciółka, Antygona...
I czarnym łodem na wargach polyska
Po stygijskich wspomnienie dzwonach.



Za to żem wdzięcznej dłoni twej opaść pozwolił.
Ze twych warg sól i słodycz wydałem rozpaczy —
Muszę czekać do świtu w głuchym akropolu.
Nienawidzę lamentów na antycznej karczy.

Achaje zbroją konie po ciemku w gęstwinie:
Zębczaste piły gryzą ścianę bez wytchnienia.
Nie uładzić krwi waru suchej krzątaninie...
I nie masz tobie dźwięku, kształtu ni imienia.

Jakże mogłem przypuścić, że wrócisz? Jak śmiałem?
I dlaczego żem ciebie przed czasem odbieżał?
Jeszcze mrok nie zawisnął, koguty nie piły
I topór rozpalony w drzewnik się wrzeżał.

Przejrzystą Iżą na ścianę smoła wystąpiła.
Miasto czuje dotkliwie swe żebra drewniane...
Lecz chlusnęła po szeceblach krew i szła na wylom...
I trzykroć sen kuszący morzył mężów ranem.

Gdzież Troja? Króla dworze? Dziewczęce pielesze?
Gruz stanie nad wysoką Pryjamów dziedziną.
Lecą strzały drewnianym, suchym zewsząd deszczem
I wtóre strzały w ziemię wrastają leszczyną.

W okna szarą jaskółką zastuka świtanie,
Ostatniej z gwiazd uklucie gaśnie bezboleśnie —
I oto dzień niespieszny niby wół na sianie
Na samborzach skudlonych przeciąga się we śnie.

Jeszcze daleko asfodeli
Pora wiosenna i przejrzysta,
Póki na brzegach mgła się bielł,
Piasek szeleści, fala błyska.
Lecz dusza moja tu wstępuje
Jak Persefona w okrag lekki.
W imperium martwych nie odczujesz
Piękności ogorzalej ręki.

Czemuż to łódce zawierzamy
Brzemie grobowych urn wieczyste
I obrzęd czarnych róż spełniamy
Nad wody gładkim amethystem?
Tęsknota moja duszą władnie
Za Meganomu mglistym brzegiem
I wstecz zawrócą czarne żagle
Ku niemu rychło po pogrzebie.

Jak bystro chmury nadciągają
Nie oświeconą krzesanicą
I płatki czarnych róż padają
Pod uniesionym wiatr księżycem.
Oto, krogulec leż i śmierci,
Wzlotem bordury znaczy czarne
Wielka chorągiew — znak pamięci
Po cyprysowej świeżej karmie.

I rozpościera się niezmiennie
Wachlarz lat przyszłych znacznych bólem
Nad miejscem, kędy z ciemnym drzeniem
W piasek zaryto dziś amulet...
Tęsknota duszą moją władnie
Za Meganomu mglistym brzegiem
I wstecz zawrócą czarne żagle
Ku niemu rychło po pogrzebie.

informacje zaczepki

Na półkach łódzkiej księgarni są ostatnio osiągalne interesujące prace kluby z literatury rosyjskiej i radzieckiej. A zatem przede wszystkim polecamy „Białe noce i inne opowiadania” — Dostojewskiego, w tłumaczeniu Broniewskiego, Karaskiego i Jędrzejewicza. Dalej polecamy rewelacyjne „Notatki z frontu 1941—1943” Effendi Kapijewa. Adaptacje tych zapisków oglądaliśmy nie dawno w telewizji w znakomitej interpretacji Wojciecha Siemiona. Jeśli chodzi o poezję to Państwowy Instytut Wydawniczy wydał utwory Natalii Asiatowej w przekładach Mandallana i Worosyjskiego. Miłośnikom lekcji, rozrywkowej literatury polecamy ciekawą powieść Andrieja Gullaszki — „Kontrwywiad”, a dzieliom — „Przygody Kapitana Zaigana” — Niekrasowa — zadaptowane przez Irene Tuwim. Tę ostatnią pozycję wydała „Nasza Księgarnia” z ilustracjami Antoniego Uniechowskiego.

* Dziewiąty (październikowy) numer „Twórczości” przynosi bardzo ciekawą informację Barbary Biernackiej pt. „W łódzkim tyguli” mówiąca o młodych poetach Łodzi. W tym samym numerze znajdujemy ciekawe wiersze Jana Huszczy, omówienie almanachu łódzkiego Oddziału ZLP „Osnowa” i wreszcie w dziale „Archiwa” nieznaną list Stendhala odnalezioną w Zaganju przez Leszka Ślugańskiego. Autor tego ciekawego znaleziska znany polski stendhalista mieszka w Łodzi i jest synem p. Franciszka Ślugańskiego, artysty rzeźbiarza, który rok temu podzielił się z czytelnikami „Głosów” swoimi ciekawymi wspomnieniami z okresu studiów w Genewie i Paryżu w pierwszych latach naszego stulecia.

* W swoim czasie pisałem o kółku młodych astronautów z Łasku. Ze zapal młodych nie był słomiany świadczy fakt, iż niedawno astronaut z PDK w Łasku otrzymał pierwszą nagrodę na ogólnopolskim przeglądzie za model rakiety, która osiągnęła najwyższy pułap i napędzana była najbardziej ekonomicznym paliwem. Jak to paliwo? Niestety, nie udało się nam dowiedzieć. Łask nie Łask — budowa i działanie rakiet to rzecz poważna i ościana tajemnicą. Maluczko a Łask zmienił się nam w rodzime Cap Canaveral.

* „Przemysł wełniany” myśli już o wiosnie — czytamy gromki tytuł w jednej z łódzkich gazet. Niestety — kiedy zima na karku przemysłu myśli o wiosnie, wiosną zapewne będzie myślał o jesieni, a jesienią o lecie. Ze też nigdy nie można utrafić i pomysłcie o odpowiedniej porze roku we właściwym czasie.

* Niedawno rozstrzygnięto konkurs na utwory literackie malych form zorganizowany przez Związek Zawodowy Metalowców. Wśród nagrodzonych i wyróżnionych znaleźli się również twórcy z Łodzi. O-tóż trzecią nagrodę w dziedzinie poezji otrzymał Tadeusz Giegler za wiersz satyryczny pt. „Ballada o młodym tokarzu”. W dziedzinie piosenek wyróżnienia otrzymał Jerzy Panasiewicz, Sergiusz Jaskiewicz (teksty) i Adam Markiewicz (kompozytor).

* Z okazji Dni Filmu Radzieckiego gościła w Łodzi delegacja radzieckich filmowców. W skład delegacji wchodził — wybitny reżyser Sergiusz Gierasimow, znana aktorka Tamara Makarowa oraz młoda studentka Instytutu Filmowego Zanna Bolotowa. Goście zwiedzili Łódzką Wytwórnię Filmową oraz spotkali się ze studentami Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej.

* Dwie bardzo interesujące wystawy eksponowane są w Muzeum Historii Włókiennictwa. Pierwsza jest krótkim przeglądem historii przemysłu w naszym mieście i nosi nazwę „Z dziejów Łodzi przemysłowej”, druga pn. „Wynalazczość pracownicza w przemyśle włókienniczym” zwraca uwagę na pewności szerokie rzesze inteligencji technicznej.

J. W.

NARADA U STAROSTY*

Udało nam się uzyskać jeszcze dwa fragmenty opowieści Františka Kafki „Okrutne lata”... Przedstawiamy rzecz Czytelnikom. „Okrutne lata” ukażą się niebawem w Polsce w postaci książkowej.

Zdecydowaliśmy się na przedstawienie tych fragmentów, bowiem książka posiada niewątpliwą wartość poznawczą i podstawową tendencją humanistyczną. Natomiast niektóre szczegółowe oceny i naszkicowane w niej sylwetki wydają się problematyczne. W szczególności budzi zastrzeżenia umiarkowana ocena „Starosty” getta Chaima Rumkowskiego — Kafka daleki jest od zdecydowanego potępienia tej postaci. Oóż istnieją źródła wskazujące na fakt, iż Rumkowski kolaborant, człowiek o chorobliwej niemal megalomanii bywał bezwzględny, okrutny.

Te usterki książki Kafki nie zmniejszają jednak jej podstawowych wartości poznawczych i humanistycznych.

Iser Grynztajn przeszedł przez biura administracji getta, pozdrawiając dobrych sumiennych urzędników. Przez chwilę zatrzymał wzrok na wiszącej na ścianie fotografii starosty. Wysockie piękne czoło pod ślicznymi, siwymi włosami i szlachetną, delikatną twarzą. Zeszłej zimy, podczas głodu, ludzie burzyli się przeciwko Rumkowskiemu. Ale on odważnie przeciwstawił się buntowi. Bez eskorty wjechał bryczką w wzbudzony tłum i utworzył z jego przedstawicieli komisję, która zbadała stan gospodarki getta. Od tej pory Rumkowski stał się dla getta drugim bogiem.

Grynztajn wszedł do gabinetu starosty. Gabinet był urządzone bardzo starannie, tylko stół miał wysoki polysk. Starosta siedział za stołem, wyglądał identycznie jak na fotografiach — mądry starzec w pełni sił. Na przeciwległej ścianie wisiało duże lustro, w którym od czasu do czasu Rumkowski przeglądał się. „Dzień dobry, starosto!”

„Dzień dobry, Iserze. Co ja tu przeczytałem? Wienawski zgłosił się do Poznania! Nie może przecież iść z kuchni!”

„Jest trochę kopnięty w głowę, sam nie wie czego chce. Córka jest z tego powodu zmartwiona, żona również!”

„Wiesz co Iserze? Ja go skrośię. Może iść w przyszłym transporcie!”

Grynztajn usiadł w niskim fotelu i zapytał: „Gdzie jest Winawer?”

„Jeszcze oblicza. Musimy wiedzieć jak wygląda nasza

sytuacja dzisiaj. Niemcy są dziwnie spokojni, mili, to dla nas wielka niespodzianka, w tym siedzi jakiś diabeł!”

Na progu stanął i ukłonił się z szacunkiem Rumkowskiemu Ajzik Winawer, drobny zwinnie jak żywe srebro człowieczek, z ostrą szpiczastą czarną bródką. Był on doradcą finansowym starosty. Na Grynztajna spojrzął przenikliwie i trochę ironicznie. Siadł w fotelu po drugiej stronie stołu i sucho Isera pozdrowił.

Nie, nie lubi mnie — pomyślał Grynztajn — odkładając się. Z zazdrości, że starosta zna mnie od kilku lat. Ja mu myślałem dalej — też zazdrościę szybkiej kariery. Jego rodzina sprzedaje w drogerii na Zgierskiej stare rupiecie, ale Ajzik Winawer jest już finansową głową getta. Na sprawach finansowych lepiej się zna niż niejeden dyrektor banku.

„Nu, Winawer, wszystko w porządku?”

Rumkowski włożył okulary i złączył lekko rece, zawsze to robił, kiedy był w dobrym humorze. Trójką, który rządził gettem był silnie związany i nawzajem się uzupełniał. Chytróść i finansowa przebiegłość Winawera równoważona była przez dobre serce i życiową mądrość Grynztajna. A do tego był jeszcze Rumkowski z niezłomną energią. Nikt z trójki nie chciał niszczyć fundamentów tej współpracy, mimo że między obydwojma doradcami panowała zazdrość.

„Tak, wszystko, co poleciłeś mi zrobić, starosto!”

„Musimy dzisiaj omówić wszystkie sprawy dotyczące przybyszów. Bibow kładł mi do serca, aby on tu aklimatyzował się. Czy mamy wszystko przygotowane do ich zakwaterowania?” — Rumkowski spojrzął w stronę Grynztajna.

„Owszem, starosto. Transport, który przyjdzie rozmieścimy w mniejszych domach na Marysińskiej; mieszkanie po jesiennej epidemii tyfusu są już wydelfekowane. Dwa dalsze transporty zakwaterujemy na Franciszkańskiej i Rubensa. Pod koniec roku drugi transport z Pragi przeniesiemy z Lagiewnickiej na Franciszkańską, a zwolniony w ten sposób dom przeznaczymy na szpital dziecięcy!”

„Mamy dla ludzi z transportów zapewnione podstawowe racje żywnościowe; muszą się do nich przyzwyczaić i muszą one im wystarczyć. Zmniejszy się ilość warzyw na Marysińskiej, nasi ludzie są bardzo wyczerpani. Zatrudnimy przybyszów tam, gdzie będziemy potrzebować rąk do pracy. Kto pójdzie do resortów dostanie cały przydział jedzenia!”

„Za pracę ludzi w resortach otrzymujemy od Niemców jedzenie. Małe odchy-

lenia są wyrównywane dewizami, które wykryje Sonderkommando. Ale co będzie, jeżeli Bibow zażąda wyrównania zaległości, które powstają z powodu żywienia przybyszów?”

„Nie martw się tym, Iserze! Bibow nam tym razem dodatkowej ilości jedzenia dla transportów nie zaliczy na poczet pracy resortów. I dlatego nie będziemy mieli żadnych trudności!”

Chaim Rumkowski z zadowoleniem przyglądał się jakie wrażenie na twarzach współpracowników wywrze wynik jego dzisiejszej walki z Bibowem. „To wyrównamy kiedyś, w przyszłości!”

„A jak będzie z czarnym rynkiem?” — powiedział prędko Ajzik Winawer na pojednanie.

„Do tego potrzebowałbym twoich obliczeń, Winawerze! Naszych ludzi jest tu sto tysięcy” — Rumkowski zajął do elaboratu, zdejmując okulary. „Ludzie w resortach i administracji getta zarabiają trzy marki dziennie, miesięcznie w sumie — 4 miliony. Na wykup przydziałów sto tysięcy ludzi musi mieć 5 milionów marek. Podatki od wynagrodzenia i czysze za mieszkanie dają nam dalszy milion dwieście tysięcy. W obiegu jest około sześciu milionów gettomarek. Z różnicy między miesięcznymi zarobkami, a pieniędzmi w obiegu korzysta czarny rynek. Kto nie zarabia odprzedaje część przydziału za wyższą cenę, aby mieć pieniądze na wykup racji przypadającej na dekadę. Czy jest tak?”

Grynztajn słuchał milcząc.

Winawer potakiwał głową.

„Druga rzecz, dopóki jedzeniem jest żywność czarny rynek, dotąd trzy tysiące pracowników naszego aparatu zaopatrzania przeprowadza różne kombinacje. Około półtora z nich

kombinuje dodatkowe porcje chleba dla rodziny, druga połowa sprzedaje chleb na czarnym rynku, Trzeci się w ten sposób najmniej sto dziewięćdziesiąt bochenków, którym płacimy przybyszom za ich rzeczy. Czy były ostatnio w aparacie zaopatrzenia kradzieże, Iserze?”

„Nie, starosto. Ludzie się najadają w czasie transportu jedzenia, ale nie wynoszą nic. Boją się sądu i wysiedlenia!”

„Na czarnym rynku można zawsze dostać mnóstwo jedzenia. Przybysze mają pieniądze, dlatego podnoszą się ceny. W getcie jest około miliona marek niemieckich tajnie przywiezionych. Jedzenia nie wystarczy, zwiększając się popyt zwiększa cenę. Chleb kosztuje już dwadzieścia marek. Jeżeli zdrożeje do trzydziestu sześciu będę zadowolony; ludzie z transportów nie będą już go kupować. Wyprowadzą wszystkie wartościowe rzeczy i niedługo zabraknie im pieniędzy!”

Grynztajn lubił ten charakterystyczny dla starosty spokojny sposób rozmowy.

„A potem?”

„Potem będą musieli przybysze wziąć się do pracy!”

Chaim Rumkowski pochylił głowę nad elaboratem swego doradcy finansowego, włożył okulary.

„Albo sami tutaj zrobimy do wiosny porządek, albo go zaprowadzą już Niemcy — ale potem będzie gorzej! Dlatego każdy transport oznaczam tutaj” — poruszył zwłokiem dokumentów, które wyjął z szuflady. „Przybysze złożą przed odjazdem każdy po sto marek i Bibow zaznaczył mi to na rachunku. Kiedy się wyprowadzą ze wszystkiego i trochę przyzwyczają do życia w getcie, wypłacimy im te ich pieniądze, ale w

trzech ratach, żeby zbyt mocno ich nie czuli w rękach. Wtedy pieniądze będą więcej o dwa miliony, czarny rynek będzie jeszcze droższy, a jedzenia ani o kapkę więcej. Nastąpi zdrowa, automatyczna regulacja cen!”

„Zdrowa wewnętrzna inflacja!” — dodał z łisim wyrazem twarzy Ajzik Winawer.

Iser Grynztajn pokręcił głową.

„Będą nas przeklinać tak, jak ludzie w getcie przeklinają, że wszystko podrożyliśmy. Odnosimy się do nich tak, jak do kogoś obcego!”

„Będą przeklinać siebie, Iserze! Drugi praski transport żąda, jak wiesz, żeby mógł sam sobie gotować. Czym prędzej im pozwolimy, tym lepiej! Jeżeli będą gotować we własnej kuchni zupy, jakie im dotąd gotowała nasza kuchnia, ich gniew obróci się przeciw niektórym z nich, przeciw tym, którzy będą gotować. Dam rozporządzenie, aby każdy transport, jeżeli chce, otrzymał własną kuchnię”. Starosta mówił prędko, jak zawsze, kiedy był rozdrażniony. „I będą sami zalewać sobie własne sprawy: w grudniu powstaną Urząd dla Przesiedleńców, w którym będą pracować tylko ludzie z transportów. Urząd ten będzie zalewał wszystkich to, z czym teraz przesiedleńcy przychodzą do moich biur!”

„Tak nie może być, starosto!”

„Twoje dobre rosyjskie serce musi się zawsze w tobie odezwać, Iserze. Myślisz, że chcę ich zniszczyć? Nie. Będą moim ludem, tak jak tutejsi. Muszą się tylko przyzwyczaić. Muszą poznać jak wygląda życie, kiedy przez okrągły miesiąc je się tylko brukiew, nie będą wtedy twardsi od tutejszych mniej posłuszni. Cóż, czy przez wiele lat nie poznałem mnie, Iserze?”

„Uczyniłbym już teraz ten eksperyment z uprzejmą twarzą, starosto. Skutek się siaga się prędzej miłym słowem, niż w parę koni — tak mówiło się kiedyś w Białymstoku!”

„Wiesz co, Iserze? Zrobimy mały egzamin, będziesz miał wiele zmartwień, oczywiście z chęcią pomogę ci. Wybierz sobie z transportu jakiegoś przesiedleńca, okaż mu swe dobre rosyjskie serce i znoś nieprzyjemności, które z tego powodu wynikną. Jestem ciekaw, co będziesz mówić na ten temat, za trzy miesiące lub za pół roku!”

„Ja bym tego nie robił!” — powiedział Winawer.

„Ty byś nigdy nie dobrego nie zrobił nikomu, Winawerze!” — uszczypliwie zaśmiał się starosta i podał na pożegnanie rękę swoim doradcom.

Finansowy doradca getta uświadomił sobie w tej właśnie chwili, że starosta poznał już jego charakter do głębi.

*) Tytuł pochodzi od tytuł macza — red.



ANDRZEJ KEMPA

O ŁĘCZYCKIM DIABLE

Przed bardzo wielu laty zesał na ziemię polską król głębokiego piekła Bezebub, całą chmurę szatanów, którym przewodził Farel, Orkisz, Loheli, Szezebiot, Odmieliec, Gorzat, Strojnat i kilka tuzinów diabelskich oficerów. Rozbiegli się po polach i lasach, ukrywali w bagnach i ruinach starych zamczysk, by ciemną nocą wyłazić z bezpiecznych kryjówek i tumanie wędrowców, wydmiakuli i strachajłów. Biegli kabaliści skrzętnie obliczyli, że każdy śmiertelnik otoczony jest zastępem 11 000 szatanów, nielawo więc było przeciętnemu wysłannikowi piekiel dokonać takich czynów, aby o nim ludzie z

grozą i podziwem mówili. A przecież obok Twardowskiego, co to diabłu w pacht duszę oddał i teraz za przedniego biesa jest uważany, stoi imię Boruta, mianowany przez samego rzadcę clemności namiestnikiem w Turmie i Łęczycy. Boruta to diabeł novus w kromkach piekielnych, głucho o nim nawet w tak szacownym dziele, jakim są „Nowe Ateny, albo Akademia wszelkich sciencjy pełna”, ks. Benedykta Chmielowskiego, znawcy diabelskich sekretów, Aleksander Brückner powiada tylko, że miano Boruty znane było mieszkańcom tych ziem już w ósmym stuleciu naszej ery.

Starodawny mit o Borucie, diable łęczyckim, stał się powszechnie znany dzięki wytrawnym zbieraczom ludowego folkloru połowy XIX w. Pierwszy opracował podania łęczycyckiego ludu o Borucie K. Wł. Wóciński, po nim dorzucili kilka nowych zapisów Szymanowski, Zmorski i Kozerski.

Przed laty jeden z łódzkich nauczycieli gimnazjalnych zebrał owe gawędy i ogłosił w maleńkiej, skromnej broszurce (Boruta. Podania. Wybrał i poprzędził wstępem Zygmunt Hajkowski, Łódź 1935, ss. 31, 1 mib.). Ostatnio postać Boruty zainteresował się poeta i miłośnik łęczycyckiego folkloru, Włodzimierz Piotrowski.

Jego wysiłek twórczy utrwalał w piękny druk i oprawa graficzna przez Wydawnictwo Łódzkie.

Boruta Piotrowskiego to diabeł uwspółcześniony, choć z dobrej szkoły gawędziarstwa ludowego wyrosły. Stare legendy i skape źródła etnograficzne złożyły się na podbudowę faktograficzną, reszta stanowi warstwa improwizacji literackiej, przepełnionej głębokim liryzmem. Autor przedstawia niejako kolejne etapy „życia” bohatera, od czasów piastowskich poczynając a kończąc na najbliższej nam współczesności. Nie rezygnuje przy tym Piotrowski z tradycyjnych metod ludowego gawędziarstwa: baśniowości, grozy, uduchnienia, często groteski.

Według klasycznych wzorów Boruta to wierny konterfekt łęczycyckiego „piskorza”, z podgoną głową i zawieszonymi wąsami, odzianego w bogaty kontusz i czerwone, wywijane buty węgierskie. Tak samą wygląda Boruta w książeczce Piotrowskiego. Boruta nie

jest okrutny, czasem zakpi sobie z bernardyną, kogoś tam otumani i pobląka po wertepach, skory jest do wypitki i wybitki, całą złość swoją wyładowuje tylko na nienawistnym mu łęczyckim imię. Namiestnik piekiel potrafi jednak karać surowo chciwość, zdradę i opilstwo, o czym się śladnie można przekonać z książki Piotrowskiego.

Z biegiem lat przywiązał się diabeł Boruta do tej ziemi łęczycyckiej, stał się patriotą regionu, nawet odwieczna złość do archikolegiaty łęczycyckiej ustąpiła miejsca głębokiej miłości do jej potężnych murów, które ongi z diablem Myszyniec-kim w niwecz chciał obrócić. A kiedy hitlerowski nastąpił uszkodził stare mury i wypalił wnętrze świątyni „Boruta”, wykuśtykał spod kamienia na Szwedzkiej Górze... więzie oblał, gaskał tymi kocimi pazurami i plakał, tak podobnie, jak małe dziecko”. Poczciwy przybylec z otchłami piekiel-

nych dożywa dziś chyba dni swoich i błąka się po słowiańskim grodzie tumskim, patrząc na umiłowaną Łęczycę i jej kopalnie, które, jak wieść gminna głosi, niedawno ludowi okolicznemu podarował. Niech czar baśni trwa nadal, niech go nie płoszy gwizd syren fabrycznych. Przeczytajcie uroczą książeczkę Piotrowskiego, a gdy będziecie zwiedzać tumską kolegiatę, może usmiechnie się do Was z zarośli dobrotliwy starzec Boruta, legendarny diabeł łęczycycki.

Włodzimierz Piotrowski: Dole i niedole diabła Boruty. Wstępem i postowiem opatrzył Tadeusz Chróścielewski. — Łódź 1963, WL, s. 137, zł 20.—

odgłosu str. 7

JAN KOPROWSKI

Widzcie i Księżki

Dziennikarze i dziennikarstwo

W r. 1938 złożyłem w ręce redaktorowi działu literackiego w warszawskim „Dzienniku popularnym” p. Gackiemu. Redakcja mieściła się na pierwszym piętrze jednego z domów w Alejach Jerozolimskich. W małym pokoiu siedział p. Gacki (nawiasem mówiąc autor ciekawej, znanej już tylko nielicznym książką „Kobiety w życiu i twórczości Stefana Żeromskiego”) i patrzył na mnie nieufnie. Po chwili zmieknął, zaprosił mnie, bym usiadł i nawet się rozgadał. Oczywiście felietonu, który mu przyniosłem, nie przyjął, ale za to uśmiechnął się i powiedział: „Widzi pan te trzy blade kartki, leżące przede mną? — powiedział redaktor Gacki. — Mam napisać na nich recenzję teatralną. Jeśli się nie zmieszczę, znaczę, że napisałem źle. Muszę pisać tak, bym na tych trzech arkusikach powieścił wszystko, co trzeba”.



Spozieratem na trzy ewłartki białego papieru i do tego stopnia utrwalił się we mnie tamten obraz, że zupełnie nie pamiętam wyglądu redaktora Gackiego, natomiast widzę wciąż jego biurko i ten biały, przegotowany do pisania papier. Dziennikarz winien więc pisać zwięźle, a przy tym dokładnie i wyczerpująco. Jeśli zasada ta obowiązywała wówczas, to co dopiero mówić dzisiaj, kiedy z miejscem w gazetach tak kręcho. Różnica między literaturą a dziennikarstwem polega na tym, że w literaturze chodzi o opis rozwinęty, z dygresjami, wprowadzony bez pośpiechu, swobodnie, gdy tymczasem w dziennikarstwie trzeba pisać szybko, krótko i od razu dotykać istoty sprawy. Niezapomniany Karol Kraus zauważył kiedyś: „Dziennikarza podnieca termińność. Pisze źle, gdy ma czas”.

Mam przed sobą dwie książki: PUBLICYSTYKĘ Gabrieli Zapolskiej (Ossolineum, 1963) i WSPOMNIENIA DZIENNIKARZA Stefana Dunina, w tej samej firmie i tegoż roku wydane. Tom Zapolskiej zawiera przedruki jej prac publicystycznych, ogłaszanych niegdyś w dziennikach i tygodnikach, lwowskich, natomiast wspomnienia Stefana Dunina są podsumowaniem jego długoletniej pracy dziennikarskiej, doprowadzonej do czasu pierwszej wojny światowej. Powiem od razu, że wólc wspomnienia Dunina, niż wybór felietonów Zapolskiej. Porównanie obu tych publikacji nasuwa wiele interesujących wniosków. Oto felietony i szkice Zapolskiej (która — jak sama wyznaje — lubi prace dziennikarską i żyć bez niej nie potrafi) na najrozmaitsze tematy, głównie jednak i przede wszystkim poświęcone sztuce i literaturze. Niektóre z nich nawet ciekawe, np. opis spotkania z Modrzewską, albo korespondencje nadsyłane z Paryża. Ale wszystkie one (te felietony) obciążone są grzechem niechlujnego gadulstwa. Badacze literatury, zajmujący się Zapolską, stwierdzili już dawno, że była to nadzwyczajna talentowana grammatopisarka (z powieściami już gorzej), ale pióro jej zawodziło w krytyce. Tutaj wychodziły na jaw jej braki, jak np. niedostateczne odczytanie w literaturze i nieukształcony smak artystyczny. Dlatego jej publicystyka literacka i dziennikarska jest powierzeniowa, a także gadatliwie rozpoetyzo-

wana. Bierze się to zapewne i stąd jeszcze, że Zapolska mierzyła wysoko, z zacięciem nie na swoje możliwości. Gdyby była skromniejsza (co nie znaczy: pozbawiona ambicji), być może miałaby w tej publicystyce lepsze rezultaty. Przynajmniej nie raziłyby nas tak wielkie zamiary i mierne wyniki.

W przeciwieństwie do Zapolskiej, ujmują skromnością, znajomością przedmiotu i wdziękiem, Dunin pisze o tym, co wie, co sam przeżył, zobaczył, zaobserwował, zbadal. Gdy czytałem jego książki, niestannie przychodziły mi na myśl słowa Somerseta Maughama: „Wszystko, o czym piszę, jest prawdą, i dlatego każdy człowiek — może odnieść siebie w moich dziełach. Ponadto, dzięki Bogu, piszę w stylu gazety, w stylu Dostojewskiego, Maupassanta i Tolstoję, — moich trzech wielkich gwiazd. Sam jestem czytelnikiem i jeśli jakieś zdanie muszę czytać trzy razy, aby je zrozumieć, to nie czytam, wcale. Pisarz winien pisać dla publiczności, podawać jej fakty, wydarzenia, czyny. Kto tego nie potrafi, jest w moich oczach pacykierem, nawet gdyby go krytycy wynosili pod niebiosa”.

Jeśli pominać kryjącą się w tej wypowiedzi przesadę i uwodzieleńską kokieteryję, podstawową jej prawdę można w całości odnieść właśnie do dziennikarstwa. (A ów styl gazety Dostojewskiego, Maupassanta i Tolstoję, o którym mówi Maugham, to po prostu styl nie celebrowany, czyli dobry potoczny język literacki, jaki używali ci wielcy pisarze). Zapolska grzeszy, niestety, sztucznością, pretensjonalnością walczą w jej pismach publicystycznych o lepsze z podniosłym banałem, i dlatego jej artykuły i felietony czyta się z pewną irytacją.

Na tym tle miłsze i strawniejsze są rzeczowe, skromne i rzetelne wspomnienia Dunina. Jego książka jest zarazem historią prasy polskiej w jej najbujańszym okresie, tj. w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Po upadku porostania styczniowego na literaturę i prasę polską spadły niebagatelne obowiązki. Miała ona stać się tymczasem i szkołą wychowania narodowego. I w większości wypadków spełniała tę rolę. Dunin podaje historię narodzin i rozwoju poszczególnych dzienników i periodyków, kreśli w zwięzłych, ale zarazem barwnych szkicach sylwetki wybitnych dziennikarzy, a także współpracujących z prasą literatów. Zresztą w owych latach, kiedy specjalizacja nie była posunięta tak daleko, pomiędzy dziennikarstwem a literaturą nie było takiej przegród jak dzisiaj. Wybitni pisarze byli również dziennikarzami, a wybitni dziennikarze parali się z powodzeniem literaturą.



Jeżeli jednak, mimo pewnej niechęci, przeczytałem pisma publicystyczne Zapolskiej, to raczej ze względu na ich wartość pozaliteracką. Po prostu traktowałem je jako źródło wiedzy o problemach i sprawach tamtego czasu. Zapolska, która znana była ze swej odwagi, angażowała się w spory i walkę, i to należy zapisać jej na chwałę.

Ale jestem pewien, że każdy z nas te trzy pękate tomy PUBLICYSTYKI (każdy ponad 500 stron druku) odda za niewielką sztukę tej samej pisarki. Za MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ, która zapewniła Zapolskiej uznanie i sławę.

ZBIGNIEW SKIBICKI

Problemy, który chce dziś przedyskutować i poddać rozważce i ocenie naszych czytelników, nie jest wcale nowy.

Mam na myśli zagadnienie wychowania fizycznego wśród uczącej się młodzieży.

Nie chciałbym zbyt wiele pisać o sposobach i formach krzewienia kultury fizycznej w szkołach w okresie międzywojennym. Różnie to było. Pamiętamy dobrze —

my starsi — kiedy w latach trzydziestych, za należenie do klubu sportowego wyrzucano z gimnazjum, gdyż dyrektor nie lubił sportu i sportowców, a takich „okazów” dyrektorskich było, niestety, bardzo dużo. Wiemy z drugiej strony, że były w naszym kraju nieliczne „oazy” — szkoły, w których kierownik czy dyrektor — zwolennik rozwoju kultury fizycznej, razem z nauczycielem gimnastyki patrzył przez palec, gdy niejeden z ich

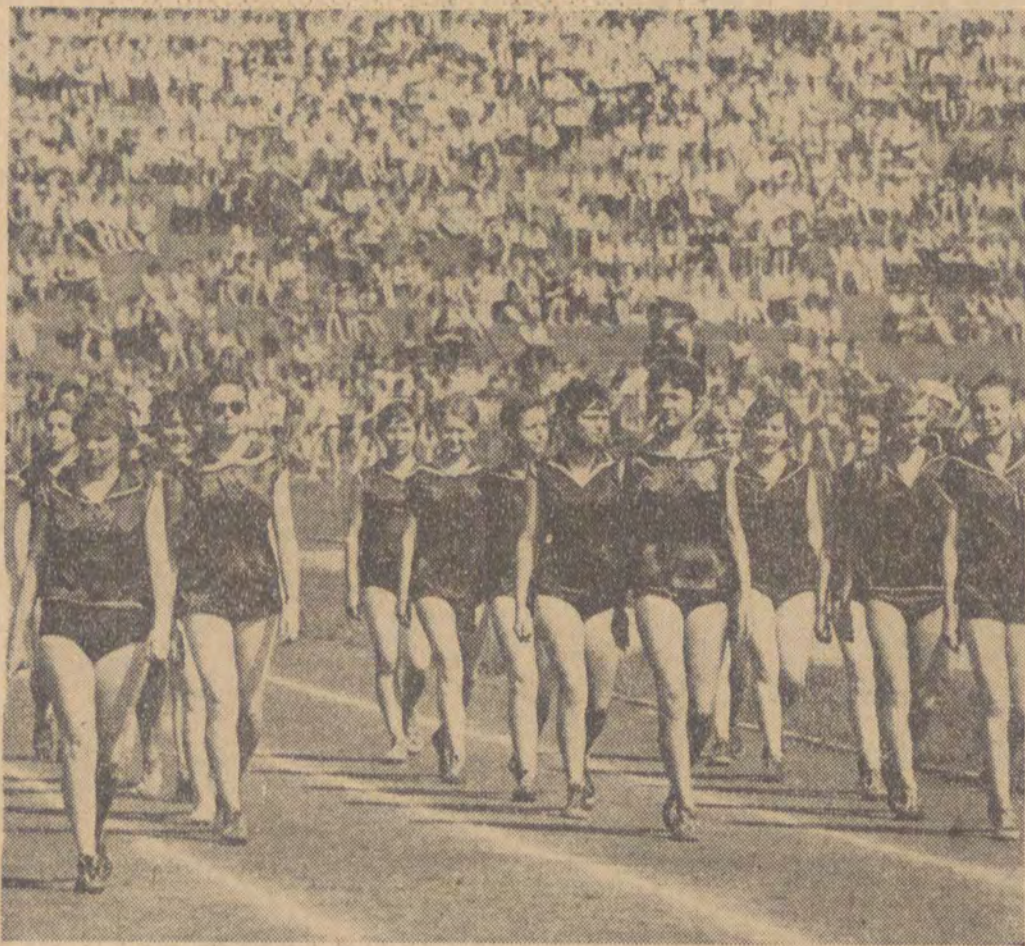
wychowanków brał udział w meczach piłkarskich, pod zmienionym nazwiskiem, by ominąć obowiązujące przepisy i by nikt nie mógł się przyczepić, że szkoła hołubi w swych szeregach zawodowych futbolistów czy koszykarzy. Różnie bywało z nauką gimnastyki, jeszcze miźniejszej przedstawiała się ilość sal gimnastycznych i wykwalfikowanych pedagogów WF.

Dzisiaj jest inaczej. Z roku na rok rośnie ilość pięknych

i komfortowych gmachów szkolnych z salami gimnastycznymi, nie ma chyba województwa, w którym nawet najmniejsze miasteczko powiatowe nie posiadałoby kilku liceów ogólnokształcących czy średniej szkoły zawodowej lub technikum specjalistycznego. Wysiłek państwa na inwestycje szkolno-osiawotowe jest olbrzymi. Społeczeństwo również docenia znaczenie wychowania fizycznego w szkołach. Przymiśnijmy, że ze środków świadczonych przez społeczeństwo na budowę szkół Tysiąclecia, wybudowaliśmy już przeszło 700 „tysiącleci” w miastach i wsiach!

Skoro więc mamy coraz lepsze warunki lokalowe, a kadra fachowych nauczycieli powiększa się z roku na rok, wypada zadać zasadnicze pytanie: Czy rozwój kultury fizycznej w szkołach podstawowych, liceach i technikum osiągnął poziom, jakiego byśmy sobie życzyli i jaki winniśmy osiągnąć mając na uwadze zdrowie fizyczne młodzieży?

Rozpatrzmy to zagadnienie na przykładzie Łodzi. Do szkół różnych typów i stopni uczęszcza w naszym mieście (oczywiście bez wyższych uczelni) 120.000 młodzieży. Szkół podstawowych było 160, licealnych 31, technikum 25, przyzakładowych i międzyzakładowych 25, specjalnych 12, zawodowych 29, — razem 282. Z tej liczby załedwie 128 szkół było wyposażonych w sale gimnastyczne, 137 w boiska. W b. roku otwarto 1 szkolną pływalnię. W 72 szkołach gimnastyka odbywa się w pomieszczeniach zastępczych (świetlice, duże klasy, korytarze), a kilkanaście obiektów szkolnych nie



W pracowniach łódzkich pisarzy



JERZY WILMAŃSKI

Siedem lat temu ukazał się nakładem „Iskier” Almanach Młodych Pisarzy, w którym zadebiutowałem dwoma wierszami. Od tego czasu wydałem dwa zbiorki poetyckie. W 1959 roku — „Poemat niedoskonały” i przed paroma tygodniami „Obronę krajobrazu”. Oba ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Obecnie kompletuje powoli trzeci zbiór, który będzie nosił tytuł „Ten czas” i w którym zamierzam pomieścić więcej niż w poprzednich tomikach wierszy mówiących o naszym mieście. Jeden z cyklu moich „Łodzi” znalazł się już w „Obronie krajobrazu” („Łódź nocą”), drugi drukowały niedawno „Odgłosy” („Łódź-świt”).

Poza tym zbieram materiały (czytam starą łódzką prasę, wspomnienia, studia historyczne), które posłużą mi do na-

pisania książki chyba historycznej, bo akcja toczyć się będzie przed ponad pół wiekiem. Książki nie mam odważyć nazwać powieścią, choć oboh postaci autentycznych występować będą także fikcyjne. Zmyślona będzie przede wszystkim postać narratora — szatniarza modnej w początkach naszego stulecia kawiarńi łódzkiego parnasu. Szatniarze, jak wiadomo, wiele wiedzą.

O Łodzi mówi się często, że nie posiada tradycji kulturalnych. W książce do której zbieram materiały chcę przypomnieć, że tradycje takie istnieją — z pewnością nie są one na miarę Krakowa czy Warszawy, ale zawsze...

Rendez-vous w księgarni

Wiemy jak wyglądają konwencjonalne wieczory autorskie. Wszystko w atmosferze oficjalnej i zazwyczaj nieco sztywnej. Spotkania czytelników z pisarzami, jakie organizuje Dom Książki wspólnie z oddziałem ZLP w księgarni przy ul. Piotrkowskiej 105 mają niespotykany dotąd charakter. Czytelnik kupuje książkę, prosi autora o autograf i rozmowy, jakie przy tej okazji się odbywają, mają charakter intymny, niejako prywatny — w kameralnej atmosferze po prostu lepiej, swobodniej się dyskutuje. Cotygodniowe rendez-vous pisarzy z czytelnikami zdobyła sobie w Łodzi z pewnością duża popularność. Dotychczas podpisywali swoje książki Leon Gomolicki i Bernard Sztajnert, w przyszłości spotkamy tam Stanisława Czernikę, Władysława Rymkiewicza, Jana Huszcze, Jerzego Waleńczyka i wielu innych.



str. 8 **odgłosy**

ma żadnych sal gimnastycznych. Nauczycieli wychowania fizycznego z wyższym wykształceniem było 151, w tym kobiet 66, z półwyższym (SN) i średnim 110, w tym 63 kobiety — razem 261. Potrzeba zaś dwa razy tyle!

Jestem zagorzałym przeciwnikiem publicystyki naszpikowanej długimi szeregami liczb i nużącej statystyki. Uważam jednak, że bez zaprezentowania tych kilkunastu danych liczbowych nie byłbym w możności udowodnić, że z rozwojem kultury fizycznej w szkolnictwie podstawowym i średnim nie jest u nas najlepiej. O ile bowiem w liceach ogólnokształcących i niektórych szkołach zawodowych czy technikach sytuacja nie przedstawia się tragicznie, to w szkołach podstawowych — wręcz katastroficznie. W tych ostatnich wychowania fizycznego ucza nauczyciele ze średnim wykształceniem pedagogicznym i te kwalifikacje upoważniają do prowadzenia gimnastyki. Ale z 254 nauczycieli zaledwie 96 przeszło przeszkolenie na krótkoterminowych kursach specjalistycznych. A więc zaledwie 35% nauczycieli ma jakieś takie pojęcie o prowadzeniu zajęć wf. To ostatnie zestawienie nie obejmuje nauczycieli klas I—IV, gdyż przepisy mówią, że w tych klasach wszystkie przedmioty prowadzi jeden nauczyciel. W praktyce wygląda to następująco: od osobistego zainteresowania pedagoga kulturą fizyczną zależy, czy dzieci, które dopiero poszły do szkoły, będą prawidłowo uczyły się gimnastyki i będą uprawiały gry i zabawy sportowe. Mam przyjaciela, który w tym roku posłał do pierwszego oddziału swego syna i chciałby, żeby jego dziecko nie tylko nauczyło się czytać, pisać i rachować, ale żeby prawidłowo rozwijało się fizycznie. Chłopak aż

rwie się do gimnastyki, chce bawić się piłką. Od nowego roku szkolnego minęły dwa miesiące, ale dzieci nie miały jeszcze ani jednej lekcji gimnastyki. Pokazano im tylko salę gimnastyczną w ich nowej pięknej szkole, a wychowawca jak ma dobry humor, to mówi: idźcie dzieci i pobawcie się na boisku piłką. Ale jak się mają bawić, nikt im nie pokazuje. Podobno tego rodzaju przykłady nie należą do rzadkości. Opinia w Kuratorium jest znamienna: sprawa wychowania fizycznego w szkołach podstawowych, w klasach I—IV przedstawia się bardzo słabo.

Wprawdzie w ubiegłym roku Kuratorium i Okręgowy Ośrodek Metodyczny przystąpiły do przeszkolenia na kursach specjalistycznych nauczycieli klas I—IV bez względu na wiek i płeć. Przeszkolono 176 osób, z czego z dziełnicy Łódź-Sródmieście 87. Dziełnica ta posiada 26 szkół podstawowych — a Bałuty, które mają 43 szkoły podstawowe przeszkoliły „aż” 16 osób. Czy więc można się dziwić, że nauka gimnastyki kuleje w pierwszych oddziałach szkół podstawowych?

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że o wszelkich osiągnięciach, o powodzeniu takiej czy innej akcji decydują ludzie, ich zapał i osobisty stosunek do danego zagadnienia. Jeżeli dyrektor gimnazjum kocha sport i interesuje się kulturą fizyczną, i ma fachowych nauczycieli wf — jego szkoła przoduje w usportowieniu. Jeśli jeszcze zarząd koła rodzicielskiego popiera rozwój kultury fizycznej i pomaga dyrekcji — wyniki nie dają na siebie długo czekać.

Nie można się więc dziwić, że we współzawodnictwie o najbardziej usportowioną szkołę na rok 1962/63 bezapelacyjne zwycięstwo odniosło w Łodzi XIX Liceum Ogólnokształcące im. A. Mickiewicza. Tajemnicą tego sukcesu jest ogólnie znana. Dyrektor Eugeniusz Zeleny kocha sport i uczniów, którzy go uprawiają, a mając do dyspozycji nauczycieli wf mgr Andrzeja Bogusza i Janinę Jaslińską doprowadził do tego, że „dziewiętnastka” uzyskała wysoki

sama uwaga dotyczy Szkoły Cwiczeń przy SN — mimo, że Szkoła ma trudności z uzyskaniem sali gimnastycznej i uczniowie często ćwiczą na korytarzach.

Obok XIX Liceum Ogólnokształcącego, które zdobyło wiele odznak wyróżnień i tytułów, dobre rezultaty we

dobre wyniki, a w minionym okresie spadło na szary koniec. Oczywiście, nie jest to wyłączna wina dyrektorów Heleny Tredjakowskiej, ale i nauczycieli wf mgr Janiny Suboczowej (która poszła na emeryturę) i mgr Leokadii Nowakowskiej. Lekcje gimnastyki prowadzone są tam na jakimś takim poziomie, lecz usportowienie młodzieży jest bardzo niskie. Nie dają też powodu do radości wyniki współzawodnictwa, o którym mowa, w XIV, XVI, XXVIII i XXIV LO i Technikum Budowlanym nr 1.

Operuję rozmyślnie konkretnymi, wymieniam licea, nawet nazwiska pedagogów, zdając sobie z góry sprawę, jaką burzę ściągam na swoją głowę, praktyka jednak wykazuje, że krytyka bez konkretnego adresu nie odnosi pożądanego skutku. A przecież chodzi o to, by poziom kultury fizycznej w szkołach, które posiadają ku temu odpowiednie warunki, podnosił się, a nie cofał lub wykazywał jakąś stagnację.

Należy dążyć do tego, by w szkołach podstawowych i średnich liczba zwalnianych z gimnastyki przez lekarzy uczniów była coraz mniejsza i ograniczała się do sporadycznych wypadków naprawde poważnych niedomagań. I tu niezbędna jest współpraca na co dzień nauczyciela wf z lekarzem szkolnym. Nie trzeba ulegać, a to często się zdarza, przeczulonym rodzicom, którzy uważają, że gdy dziecko kichnie dwa razy powinno być zwolnione z gimnastyki. Ktoś złośliwy zapyta, a czemu nie z lekcji jęz. polskiego czy geografii?

Dla przykładu podam: w III LO lekarz zwolnił z gimnastyki — bagatela — 25% uczniów!

Dążąc do wychowania zdrowego i sprawnego fizycznie młodego obywatela, po-

winniśmy starać się o usunięcie następujących braków i niedomagań z zakresu krzewienia wychowania fizycznego w szkołach:

1. Dążenie za wszelką cenę, by każda szkoła miała salę gimnastyczną i boisko sportowe.
2. Zapewnienie szkolnictwu średniemu kadry nauczycieli wf z wyższym wykształceniem.
3. Odpowiednie przeszkolenie w zakresie wf nauczycieli ze średnim wykształceniem, którzy będą uczyli gimnastyki w klasach I—IV, w szkołach podstawowych.
4. Dopilnowanie obowiązków przeprowadzania ćwiczeń rekreacyjnych 1-2 minutowych w połowie każdej lekcji.
5. Wprowadzenie obowiązków uprawiania w klasach wyższych szkół podstawowych i liceach przez uczącą się młodzież gier sportowych w godzinach pozalekcyjnych 2 razy tygodniowo.
6. Wprowadzenie od trzeciego oddziału obowiązkowej nauki pływania w szkołach, gdzie są baseny.
7. Nalożenie obowiązku na kierowników szkół i dyrektorów liceów oraz techników aktywnego popierania rozwoju kultury fizycznej oraz gier sportowych.
8. Zakończenie we wszystkich szkołach szkolnych kół sportowych.
9. Wydanie zalecenia kierownikom szkół i liceów obowiązkowo popierania wszelkich imprez sportowych organizowanych dla młodzieży przez wojewódzkie czy powiatowe Komitety Kultury Fizycznej i Turystyki.

ZBIGNIEW ŚKIBICKI

NIE TYLKO MĄDRE ALE ZDROWE I SILNE!

poziom wychowania fizycznego, co absolutnie nie przeszkadza uczniom w osiągnięciu dobrych rezultatów w nauce.

W tym samym budynku, co „dziewiętnastka” mieści się Studium Nauczycielskie. Proszę pójść na lekcje gimnastyki w klasach III i IV i zobaczyć jak je prowadzi Irena Sulejanka. To satysfakcja patrzeć na poziom ćwiczeń i wyrobienie ćwiczących. Ta

współzawodnictwie osiągnęły też XXII Liceum Ogólnokształcące, Technikum Ekonomiczne nr 3, XXI i XXVI LO. Ale tam, gdzie dyrektor nie interesuje się sportem, a zagadnienie wf jest mu, powiedzmy ogólnie, obojętne, rezultaty są miernie. Tylko tymi względami można tłumaczyć, że X Liceum Żeńskie Ogólnokształcące im. M. Konopnickiej jeszcze w 1961/62 r. miało

ALINA GRABOWSKA

„Zakochani są między nami”



Magda Zawadzka i ratownik — Andrzej Olszański.

No cóż — bawimy się w gre pod tytułem „UPAŁ, SŁOŃCE”. Temperatura nie przekracza 12 stopni Celsjusza, niebo ciemne i chmurne, fała taka, że głosu nie słychać. Nagle, jak na komendę, radość nie wbiega w morze grupka entuzjastów — dziewczęta w skąpych kostiumach bikini, chłopcy w króciutkich slipkach. Widać, że nie nie sprawa im takiej przyjemności jak kąpiel, jak wyrwanie sobie wielkiej kolorowej piłki, jak przewracanie kajaków, jak ochlapywanie wodą sąsiadów, jak nurkowanie i wysięgi „żabka”. Trochę tylko może dziwić, że entuzjastki morskiej wody bez przerwy szcękają zębami, że twarze mają skrzywione a ciała pokryte gęsią skórą. Część nie wytrzymuje i próbuje chyłkiem uciec z morza. STOP! Pani w niebieskim kostiumie i pan z nadmuchaną poduszką! Proszę natychmiast wracać do wody!

Po kąpiel przyjemnie jest poleżeć na piasku. „Dwie pannie obok kosza i pan na kocu! Proszę zdjąć swetry! Panowie, proszę rozwinąć koca! Wystawiamy twarze do słońca, na nosy nakładamy listki!”
Do słońca? Do jakiego słońca? Przecież „słońce” zastępuje reflektory, nosa sobie nikt nie opali, a co najwyżej można nabawić się porządnego kataru... Ale — choć takie warunki panują już wiele

dni, nikt się na szczęście nie przeziębia i wszystko się kończy na gęsiej skórze. W kabinie kąpielowej, o której nie wspominał temat kręcenia „Zakochanych” stworzyli statystycy słyszmy: „Grunt to zobaczyć swe nagie ramie, w kinie, na srebrnym ekranie”.
— Przyjechaliśmy tutaj mów kierownik produkcji, Jan Szymański, bo film ma 90 procent zdjęć plenerowych. I w Mielnie znajduje się właśnie odpowiedni, zniszczone molo i odpowiedni brzeg. Ładne plaże, mało zieleni. W lipcu statystycy byłby całkiem prawie niepotrzebni. „Drugim plan” po prostu „sam się robi”, taki tłum leżał na plaży. Przepowiednie meteorologów głośno piękna pogoda. Tymczasem sierpień był fatalny, wrzesień lepszy ale już bardzo zimny, a w ogóle zostajemy do połowy października. To, że mimo wszystko realizujemy film, że nie mamy opóźnień, wymaga naprawde ogromnego wysiłku i poświęcenia.

(Tu miejsce na złośliwy black-out zacierpnięty z kabinie kąpielowej. „Dlaczego filmu o upale nie kręcono w lipcu? — ponieważ plaża była zajęta przez ekipę filmu o... Grenlandii”. Ale to oczywiście tylko żart, nikt nie mógł przewidzieć, że „lato stulecia” skończy się w lipcu).

Mówi autor scenariusza, znany pisarz Andrzej Mandaliński:

— Lato stulecia? O „lecie stulecia” mogą mówić ci, którzy nie wyjeżdżali z Łodzi. Tu i tam „lato stulecia” zupełnie nie stwierdziliśmy...

Tymi słowami przywitano mnie w Mielnie. Było zimno, mżył kapuśniaczek. Nieliczni wczasowicze kulili się pod parasolami, plaża opustoszała, zniknął kolorowy, hałaśliwy tłum, zwinęto szachownicę koców, a grajdolę zasypał wiatr.

W tej scenierii można byłoby znakomicie zrealizować „Zaduszki” — tymczasem scenariusz filmu „Zakochani są między nami” u góry każdej niemal strony zaopatrzone jest uwaga: UPAŁ, SŁOŃCE.

— To jest w zamyśle film o plaży podczas upalnego, letniego dnia. Takiego dnia plaża stanowi zamkniętą, odrealizowaną całość, rządzi się własnymi prawami, własnym rytmem, specyficznymi choć banalnymi sprawami. Mała miejscowość uzdrowiskowa z pretensjami do „wielkiego kurortu”. Jedną z tysięcy „wakacyjnych” par, które żyją na zasadzie motylego istnienia. Nie wiedzą, czy będą razem następnego dnia — czy nie. Szykują się i rozchodzą w rozlewającym, ogłupiającym upale. Ale kiedy rytuał zaczyna obowiązywać, kiedy ich jedynowiciową miłość na skutek gry w „zakochanych” staje się czymś oficjalnym — zaczynają się komplikacje. Dziewczyna, zgodnie z naturą pragnie się ustabilizować, pragnie utrwalić ów związek — chłopak ucieka. A potem następuje katastrofa — kończy się pogoda, plaża przestaje funkcjonować. Przeszta działają czworokąty, trójkąty, systemy połączeń międzyludzkich. Człowiek w ubraniu jest inny niż człowiek w kostiumie kąpielowym, wszystko wraca do normalnego, codziennego porządku, powraca hierarchia stanowisk społecznych, wieku, zamożności. Miał miejsce tragiczny wypadek — ale następnego dnia już świeci słońce, już rozpoczyna się zwykły dzień na plaży.
Mówi reżyser, Jan Rutkiewicz:

— Scenariusz zamyka się w jednym dniu, podczas, którego mamy kolejno upał, wielkie zachmurzenie, wreszcie sztorm. Pogoda jest tutaj elementem dramaturgii i podporządkowany jej został szereg wydarzeń. Dramaturgia nie przewiduje sensorycznych zmian akcji, gwałtownych przeskoków — tym większego znaczenia nabiera ruch głowy, zwrot ciała, minimalnie znaczonej gest. Naszym zadaniem jest stworzyć wrażenie upału, rozlewającego upału — czyż muszę mówić jak to trudne kiedy wszyscy marznięmy i kiedy nikomu naprawdę nie chce się wchodzić do wody? Kiedy morze co chwila ma inny kolor, kiedy mokry piasek daje inny ton w zestawieniu z opalenizną twarzy, a na właściwe oświetlenie czekamy nieraz godzinami? To są tzw. trudności obiektywne — do tego dochodzi szereg kłopotów inżynierskiego typu. Na przykład: żółw — a jestem przekonany, że nie ma na świecie bardziej upartej aktorki niż właśnie żółw! Toż czasem pół dnia trzeba było czekać, żeby ta bestia ruszyła łapą albo wysunęła głowę. Mamy też psa, uroczego psa imieniem Pata. Ale Pata słucha jedynie jednego z naszych współpracowników, Jurka Zapióra. Więc kiedy w pewnym momencie Pata miała



Magda Zawadzka w jednej ze scen filmu.

podejść do leżaka — trzeba było Zapióra zakopać po szyję w piasku pod leżakiem, potem Zapiór zawołał Patę i pies dopiero podszedł gdzie trzeba. W filmie wystąpi również autentyczna Cyganka — to znów wymagało licznych targów z jej mężem, w końcu postawiono jako warunek, że Cyganka zje u nas śniadanie oraz w wolnych chwilach będzie nam... wróżyć. Pracujemy też z małą trzyletnią dziewczynką, Justynką Dąbrowską. Justynka jest wychowywana w wielkim poszanowaniu dla pracy ale jest przecież bardzo malutka, więc czasem po prostu powiada nam: „Ja chcę do domu”. A propos aktorów — w „Zakochanych” gra głównie młodzież i będzie parę debiutów. Postawiliśmy na młodzież, bo wydaje mi się, że ona właśnie nie przesłania tak zwaną szkodliwą w filmie rutyną teatralną, emfazą, skłonnością do koturnu.

Wracamy do zdjęć. Jest to scena dramatyczna, realizowana w innym rytmie, skonstruowana z powolnym, rozległym charakterem poprzednich sekwencji. Scena sztormu. W roli dziewczyny — Magda Zawadzka, studentka Warszawskiej Szkoły Teatral-

nej, w roli Maćka student z tej samej uczelni, Krzysztof Kuleżyński, w roli ratownika słuchacz Szkoły Teatralnej z Krakowa, Andrzej Olszański, Role Renaty odgrywa jedna z czołowych krakowskich aktorek, Maria Nowotarska, jej męża — Stanisław Jaskiewicz. Jedną z najważniejszych postaci Tadeusza, tworzy w „Zakochanych” student łódzkiej PWSTiF, Andrzej Jurczak.

Tymczasem na plaży przyjechała już straż pożarna, której zadaniem jest polewanie aktorów wodą podczas „sztormu”.

Teraz autor zdjęć, Karol Chodura daje znak że „można zaczynać”. Pata, żółw i straż ogniowa znajdują się już na stanowiskach a statystyci z entuzjazmem wskoczyli do wody. Trwa normalny, trudny dzień pracy wielu ludzi, dzięki którym do końca bieżącego roku zostanie ukończony nowy polski film „Zakochani są między nami”.

DWIE STRONY MEDALU

Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego przy współpracy z Pracownią Badań nad Kulturą Masową PAN przeprowadziła wiosną 1962 r. wielce interesujące badania, których celem było zbadanie konkretnego wpływu telewizji na poziom życia kulturalnego młodzieży wiejskiej. Badaniem objęto 31 wsi, których świetlice przynajmniej od roku posiadają telewizor. Spośród wybranych wsi — 21 miało charakter zdecydowanie rolniczy, pozostałe 10 — zamieszkałe przez stosunkowo duży procent robotników dojeżdżających do zakładów pracy, lub uczniów szkół średnich — wyraźnie cięższy ku miastu. W obu grupach badanych wsi uwzględniono także różny stopień posiadania tradycji kulturalnych, w tym również istnienie ruchu amatorskiego.

Badaniami objęto 353 mężczyzn i 256 kobiet, przy czym wiek respondentów określono od 16 do 24 roku życia, wyodrębniając m. in. grupę tzw. aktywistów, (tzn. młodzieży czynnie uczestniczącej w życiu kulturalno-społecznym swojego środowiska), oraz grupę nie przejawiającą żadnego zaangażowania w życie społeczne wsi.

Jak wynika z zebranych informacji, prawie cały wolny czas od pracy młodzież wiejska przeznaczają na oglądanie programu telewizyjnego. Deklarowany przez młodzież czas wolny od zajęć (najkrótszy latem) waha się przeciętnie od 3 do 5 godzin. Około 1/3 badanej młodzieży ogląda telewizję

systemem „jak leci”, tj. bez specjalnego wyboru. Wybrane pozycje programowe ogląda 43,3% badanych. W sumie — 67,1% młodzieży objętej badaniami korzysta stale z telewizji. Charakterystyczne, że w grupie respondentów oglądających program telewizyjny w całości, bez dokonywania wyboru — przeważają ludzie o wykształceniu podstawowym i niepełnym podstawowym.

Grupę młodzieży deklarującej wybór w odbieraniu programu telewizyjnego i stanowiącą zdecydowaną większość wśród badanych widzów należy jednak, zdaniem przeprowadzających obserwacje, traktować do pewnego stopnia krytycznie. Stwierdzono bowiem, że forma wyboru takich, a nie innych pozycji programowych przebiega dość mechanicznie i często nie wynika z aktywnego, świadomego nastawienia odbiorców. Po prostu, ogląda się program od początku do końca, z tym, że w czasie nadawania audycji mniej interesujących — widzowie przechodzą do innych zajęć świetlicowych (rozmowa, gry towarzyskie itp.), aby następnie znowu powrócić do odbioru telewizyjnego. Tak więc i w tej grupie notuje się fakt żywiołowego, nie planowanego z góry odbioru.

Warte uwagi i głębszego zastanowienia jest przesłanie wartości poszczególne audycje telewizyjne według upodobań badanej młodzieży.

Na pytanie: „Jakie audycje telewizyjne ogląda Pan (i) najczęściej?” — 31,4% respondentów opowiedziało

się za filmem, 19,7% nie potrafiło wskazać żadnej pozycji, utrzymując jedynie, że telewizja przynosi odprężenie i traktują ją jako pewną formę rozrywki, dopiero na trzecim miejscu — 9,5% badanych wskazuje na audycje typu informacyjnego (przede wszystkim Dziennik TV). 7,9% opowiada się za lekkimi programami rozrywkowymi, 6,9% wykazuje zainteresowanie programami sportowymi, a zaledwie 3,9% odpowiadających wskazuje na możliwość oglądania spektakli teatralnych, oper i operetek.

Z danych wyżej przytoczonych jasno wynika, że najpopularniejszą na wsi pozycją programu TV jest niewątpliwie film. Pozycję tę chętniej wymienia młodzież młodsza (16—20 lat); w tym częściej kobiety niż mężczyźni. Daje się również zaobserwować fakt większej popularności filmu u młodzieży o niższym stopniu wykształcenia. We wsiach, nawet tych cięższych ku miastu i znajdujących się pod silnym wpływem oddziaływania kulturalnego — kino stanowi wciąż jeszcze atrakcję, ponieważ częstotliwość projekcji filmowych nie zaspokaja zapotrzebowania na tego typu rozrywkę. Film w telewizji ma te zalety, że wyświetlany jest częściej, ma się go „na miejscu” i jego obejrzenie nie wiąże się z wydatkiem pieniędzy na bilet. Wśród oglądanych filmów — największą popularnością cieszą się filmy sensacyjno-przygodowe, około 1/3 miłośników projekcji

filmowych wskazuje na filmy o tematyce wojennej.

Wśród zwolenników programu informacyjnego notuje się fakt większego zainteresowania ze strony młodzieży posiadającej wyższe wykształcenie. Respondenci z nieukończoną szkołą podstawową opowiadają się za tego typu programem zaledwie w 7,8%, 10,3% z ukończonym podstawowym, 16,3% z niepełnym średnim, a 20% z ukończoną średnią szkołą.

Popularność teatru wiąże się z terenami stojącymi wyżej pod względem cywilizacyjnym i kulturalnym. Również zainteresowanie teatrem wzrasta proporcjonalnie do wykształcenia.

Niewielkim powodzeniem cieszą się na wsi teleturnieje. Tu również zainteresowanie łączy się z posiadaniem wykształcenia. Gdy wśród młodzieży rolniczej te pozycje wymienia zaledwie 2,6%, to wśród pracowników umysłowych na wsi opowiada się za nią 11,8% badanych. Zanotowano też wypadki organizowania własnych, lokalnych turniejów po obejrzeniu teleturnieju telewizyjnego. Należą one jednak do wypadków sporadycznych.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, że „Niedzielna Biesiada” — audycja adresowana wyłącznie do odbiorców wiejskich, cieszy się najmniejszym powodzeniem. Wyróżnia ją zaledwie 3,1% badanych, natomiast wielu wskazuje na nią jako na ten punkt programu, z oglądania którego można zrezygnować.

Tak, oczywiście w wielkim skrócie można scharakteryzować stopień zainteresowania telewizją przez młodzież wiejską. O drugiej stronie medalu — czyli o wpływie i stopniu oddziaływania telewizji na tę młodzież — następnym razem,

Wszystkie dane liczbowe pochodzą z materiałów: dr. Jerzy Rudzki — „Wpływ telewizji na aktywność kulturalną młodzieży wiejskiej” (CPARA, W-wa 1963), na których opierałam się przy opracowaniu niniejszego artykułu.

O poetycką księgę Łodzi

Kiedyś, lat temu sześć czy siedem, trochę dla własnej zabawy, trochę ze studenckiej konieczności zestawilem bibliografię antologii poetyckich z lat 1945—53. Już wówczas zaskoczyło mnie, że wśród dziesiątków pozycji nie znalazła się ani jedna dotycząca Łodzi. Wśród antologii uświetniających najrozmaitsze rocznice i wydarzenia, miasta i postacie nie znalazła się ani jedna mówiąca choćby o Czerwonym Widzowie, o „Łódzkim” 1905 roku. Była natomiast cała masa zbiorów wierszy o Warszawie, swoje zbiorki tematyczne miał Kraków, Śląsk, bodaj Lublin i Szczecin, była też „Antologia współczesnej liryki świętokrzyskiej”.

A o Łodzi? Złote. Złote jakby nie tworzył tu Głiszczyński i Tuwim, Karpiński i Braun, Sowiński i Piechal, jakby nie było dobrej kopy wierszy o tym mieście napisanych przez wielu wybitnych nieraz poetów.

Nie przemawia przede mną klasny partykularizm, rzecz po prostu w tym, że Łódźkie tradycje kulturalne i historyczne stwarzają możliwość opracowania księgi poetyckiej będącej niejako pokwitowaniem, świadectwem obecności — zarówno dziś jak i przed laty — przynęty środowiska pisarskiego, odnotowaniem historycznych i kulturalnych faktów i zjawisk. Taką książką — poetycką księgą tegoż pononopoetyckiego miasta — byłaby z pewnością w równej mierze wartościowym dokumentem co zbiór reportaży „Ucieczka przed miastem”, monografia Gerstmana czy praca zbiorowa „Łódź 1945—1960”. Właśnie aż się prosi poetycki aneks do tych trzech mimo wielu zastrzeżeń wartościowych przeciętnej i potrzebnych publikacji.

Określenie „potrzebne” nie jest tu zwrotem retorycznym. Wystarczy porozmawiać z nauczycielami, z pracownikami kultury aby przekonać się jak bardzo brak wartościowych, niebałamutnych zestawów poetyckich. W niektórych szkołach uczniowie wyciągają z gazet — jakże nieliczne — wiersze o tematyce łódzkiej, aby wklejać je do osobnego albumu. To fakt. A w pewnym klubie nieorientowany instruktor sam przygotowuje wiersze o Łodzi potrzebne na okolicznościowe akademie. Nie są to oczywiście arcydzieła, ale coż ma robić nieszczęśliwy działacz, skoro nie ma odpowiedniej antologii. Skazuje słuchacza na złą amatorszczyznę.

Księgarze nie od dziś obserwują nieprawdopodobną wprost popularność wszelkie

go rodzaju antologii. Czytelnik, ten o nieskrystalizowanym jeszcze smaku literackim woli otrzymać wybór dokonany przez fachowca, zawieszony na wyborowi. Stąd zjawisko nie spotykane na naszym rynku księgarskim: 7000 nakład antologii „Poezja polska 1914—1939” rozszedł się w ciągu paru dni. Weźmy zresztą naszą łódzką „Rzecz poetycką”. O ileż więcej sprzedano egzemplarzy antologii „Sio wierszy” niż np. „Tworzywa” czy „Konwencje”.

Antologie zatem spełniają niewątpliwie poważną rolę w kształtowaniu smaku literackiego wśród najszerzych rzesz czytelników. Antologie orientują w ruchu literackim dawnym i obecnym, słowem są podręcznikiem kultury literackiej. Oczywiście, zdarzały się przed laty antologie, które tych wszystkich postulatów nie spełniały i spełniać nie mogły, bo stawiano przed nimi inne cele.

Myszę, że antologia wierszy o Łodzi winna mieć charakter zarówno ściśle użytkowy jak i — prezentując tradycje oraz aktualne środowisko pisarskie — winna posiadać duże wartości artystyczno-literackie i dokumentalne. Dlatego uważam, że byłoby najlepiej, aby antologia oparta została wyłącznie o przedruk. Po pierwsze nada to książce walor niefałszowanego dokumentu, po drugie uchroni zbiór przed dorazną produkcją na zadany temat.

Taki zbiór, taki almanach należałby się zarówno łódzkim rzeszom czytelnikom, dla których byłoby compendium poetyckiej wiedzy o mieście jak i należałby się aktualnemu środowisku pisarskiemu, dla którego byłby podsumowaniem ciągu poetyckich tradycji.

Takiego almanachu jednak ani czytelnik ani pisarz łódzki dotychczas nie otrzymał. Takiego almanachu nie planuje o ile wiem Wydawnictwo Łódzkie. Po prostu nie udzieliłono Łodzi zezwolenia na wydanie... antologii wierszy o Łodzi.

Dlatego też felieton ten jest naderśmiertny i nie jest pretencją pod adresem Wydawnictwa Łódzkiego. Nie jest — ponieważ to wszechwładna Warszawa stawia podobno veto. Jest — ponieważ zbyt mało energicznie z tą niezrozumiałą decyzją walczy. Bo w końcu powinniśmy zadać z większym uporem tego, co się nam bezprzebieżnie należy — poetyckiego pokwitowania łódzkiego paru dziesiątków lat Łodzi robotniczej, rewolucyjnej, artystycznej i po prostu Łodzi — miasta wbrew pozorom o nieodpartym poetyckim uroku.



Zmotoryzowane patrole policji w Paryżu zostały wyposażone w małe, przenośne kamery telewizyjne. Gdy na ulicach miasta zdarzy się wypadek, wówczas policjanci za pomocą kamery telewizyjnej przekazują obraz rannego do specjalnego szpitala, skąd dyżurny lekarz udziela natychmiast drogą radiową wskazówek, jak postępować z kontuzjowanym. Takie zastosowanie telewizji zdało już w Paryżu egzamin. Jest to więc jeszcze jedno użytkowe zastosowanie telewizji.

Do innych celów użyto natomiast kamer telewizyjnych w Blindeston (Anglia). W tułej w więzieniu telewizja... strzeże więźniów. Więźniowie wychodząc do pracy mogą poruszać się po nieogrodzonej żadnym widocznym zagrodzeniem przestrzeni. Jest ona bowiem strzeżona przez rozmieszczone kamery telewizyjne. Jednakże znalazło się kilku „mieszkańców” więzienia w Blindeston, dla których kamery telewizyjne nie były wielką przeszkodą w ucieczce. To zmusiło więźnia do zainstalowania na terenie robót radaru. Teraz nawet najbardziej nieporadliwi więźniowie nie porażają sobie ze skierowanymi przeciw nim dwoma wielkimi wynalazkami XX wieku.

Japonia, która specjalizuje się w przemyśle telewizyjnym, notuje kolejne osiągnięcia. Oto niedawno wyprodukowano tam najdoskonalszą, miniaturową przenośną kamerę telewizyjną. Składa się ona z dwóch części: kamery właściwej (waga — 7,20 kg; wymiary — 12,7 x 17,7 x 50,8 cm) i „plecaka” (wymiar — 35,5 x 40,6 x 12,7 cm), gdzie znajdują się baterie, oraz nadajnik ultrakrótkofalowy.

Na zdjęciu: młoda piosenkarka francuska Sylvia Vatan, najpoważniejsza konkurentka Francoise Hardy w telewizji francuskiej. T. W.

TADEUSZ WIĄCEK

FREDRO nietelewizyjny

Która to już z rzędu komedia Fredry na małym ekranie? Oglądaliśmy już „Zemście”, „Śluby panienskie”, „List” i ostatnio „Wielkiego człowieka do małych interesów”. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że żadna z tych premier nie stała się wielkim wydarzeniem. Wina w tym nie tylko realizatorów. Po prostu Fredro jest autorem, którego komedie trudno dopasować do wymagań telewizji. Dlatego dziwi mnie upór, z jakim nasza telewizja forsuje sztuki tego pfarza. Czy nie wystarczyło porzucić na „Zemście” i „Śluby panienskie”? Dano się jeszcze oglądać „List” w dość dobrej realizacji Teatru Popularnego. Natomiast niedziałkowy spektakl „Wielkiego człowieka do małych interesów” był chyba nieporozumieniem. Na pewno nie da się tej sztuki zaliczyć do najlepszych utworów Aleksandra Fredry. Napisana u schyłku twórczości nie zwróciła na siebie uwagi historyków literatury (i chyba słusznie). Toteż dziwić się należy, że właśnie po tę nieprezentacyjną komedię Fredry sięgnął Teatr Telewizji. Czy nie lepiej byłoby wystawić dobrą komedię Korzeniowskiego,

którego setną rocznicę śmierci obchodzimy w tym roku. Ponaddziałkowy spektakl mógłby jedynie uratować doskonałą realizację telewizyjną. Niestety, tak się nie stało. Reżyser Maria Wiercińska nie potrafiła w najmniejszym stopniu utelewizyjnić tej komedii. Operowanie dalszym planem i niewykorzystanie zbliżeń, oto podstawowe zarzuty pod adresem reżysera. Nawet w bardziej wielopostaciowych sztukach reżyser potrafił wydobyć akcent telewizyjny. Tymczasem w „Wielkim człowieku do małych interesów” zbyt często panował tłok przed kamerą. Akcja gubiła się wśród rozkrzyżowanych postaci. Odnosiło się wrażenie, że w wielu fragmentach reżyser nie doręczał przedstawiennemu (może nie umiał sobie z nim poradzić). Nie zastawiano również koniecznych skrótków. Stąd początek spektaklu raził dłużydnymi, a fragmenty miały niesłychanie spiętrzoną akcję. Do poziomu tej premiery dostrajano się również scenografia. Znany scenograf teatralny Otob Axer nie pokusił się o ambitną oprawę przedstawienia. Mielśmy więc tak najbardziej konwencjonalne wnętrza, które dałoby się wykorzystać

w niejednej komedii Fredry. Scenografia była zbyt teatralna i w żaden sposób nie odpowiadała spektakliowi telewizyjnemu. Dlatego często wydawało się, że przedstawienie jest transmitowane ze sceny teatralnej, a nie studia telewizyjnego. Co do aktorów, to zaczęło się od postaci tytułowej, ale od roli Głińskiego, który wystąpił jako pan Dołski. Reżyser wyeksponował tę postać bardziej niż pozostałe (wydaje mi się, że ze szkoda dla całego spektaklu). Z przykrością należy stwierdzić, że była to najsłabsza rola w telewizji tego ogólnie lubianego aktora. Odtworzenie postaci płaźliwego niedoradcy w żaden sposób nie odpowiadało aktorowi, którego genre jest zupełnie odmienny. Położyła swą rolę także Zofia Sarek jako Aniela. Na jej fle Alicja Pawlicka błysnęła dużym talentem. Jak zwykle niezawodny w rolach fredrowskich Tadeusz Bartosik i tym razem bardzo dobrze wywiązał się z powierzonej mu tytułowej roli pana Jenialkiewicza. Z pozostałych aktorów wyróżnił się Zbigniew Zapasiewicz, Kazimierz Meres i kapitalny w epizodycznej roli Mieczysław Gajda.

odgłosy TYGODNIA

Co czytają łodzianie?

W Łodzi, jak wiadomo, ukazują się 3 pisma codzienne. Są to — Głos Robotniczy, Dziennik Łódzki i Express Ilustrowany. Przeprowadzone badania statystyczne wykazują, że na 100 mieszkańców Łodzi przypada: 8 egzemplarzy Głosu Robotniczego, 8 Dziennika Łódzkiego, i najwięcej, bo 12 egzemplarzy Expressu. I jeszcze jedna cieka-

wostka — teren miasta został podzielony przez „Ruch” na trzy „dzielnice”: Północ, Śródmieście i Południe. Głos Robotniczy rozchodzi się w mniej więcej równych ilościach w tych dzielnicach, natomiast oba pozostałe dzienniki znajdują najwięcej nabywców w dzielnicy Północ.

E. K.

Młodzi olimpijczycy

W tym roku Ogólnopolska Olimpiada Szkolnych Lig Quizowych organizowana przez KC ZMS i ZG ZMW obchodzi pierwszy jubileusz — pięćdziesiąt lat istnienia. Po raz piąty z kolei tysiące uczniów podejmują solidną pracę przygotowawczą. Będą oni czytać, dyskutować, poznawać rozmaite dziedziny naszej współczesności. Wezmą udział w imprezie bardzo wszechstronnej tematycznie, obejmującej te sprawy i problemy, o których w zasadzie powinien wiedzieć każdy młody człowiek, interesujący się współczesnością i pragnący ją zrozumieć. Olimpiada nie jest więc quizem czy konkursem hobbystów, lecz imprezą szeroką, w całym tego słowa znaczeniu. V Ogólnopolska Olimpiada Szkolna

— „Polska i świat współczesny” rozgrywana jest w roku XX-lecia Polski Ludowej. XX-lecie będzie więc jej głównym motywem programowym. Uczestnicy, będą musieli bardziej szczerze gólowo niż dotychczas, zapoznać się z faktami historycznymi, z historią Polski Ludowej.

Oto niektóre główne kierunki programowe Olimpiady: geneza Polski Ludowej, rozwój gospodarczy PRL, PZPR — przodująca siła narodu polskiego, młodzież w Polsce Ludowej itp. Przygotowanie do Olimpiady Szkolnej — to równocześnie poważna praca polityczna, ideowo-kształceniowa, mająca na celu podniesienie ogólnego poziomu wiedzy politycznej wśród członków ZMS i ogółu młodzieży. Doskonała forma od działalności na młodzież niezrzeszoną w Związku. W naszym mieście ponad 9 tys. młodzieży szkolnej jest członkami ZMS. W ubiegłorocznej Olimpiadzie Szkolnej brało udział 27 tysięcy uczniów naszego miasta. Ten zestaw liczb ma swoją wymowę. Ogólnopolska Olimpiada Szkolna jest największą imprezą ideowo-kształcącą organizowaną przez Związek Młodzieży Socjalistycznej, o bardzo szerokim oddziaływaniu. Przewiduje się, że w skali ogólnopolskiej bieżąca Olimpiada, przekroczy grubo 600 tys.

List w sprawie zaufania

Panie Redaktorze, z przykrością donoszę, że nie napisałem zamówionej notatki. Wszystko zaczęło się od zepsutego przed pół rokiem budzika. Budzik przestał dzwonić. Ponieważ jestem szczęśliwym posiadaczem telefonu i ponieważ istnieje w Łodzi biuro zleceń, nakreśliłem numer 281-40 i poprosiłem o zbudzenie o godz. 6 rano. Miałem zamiar wstać właśnie o 6 i opracować zebrany materiał. Niestety, telefon nie zadzwonił i obudziłem się dopiero o 9. I oczywiście nie zdążyłem notatkę napisać.

Silnie wzburzony tym, że zaufanie moje zostało zawiedzione, rozpocząłem energiczną akcję. Po kilku telefonach uzyskałem połączenie z kierowniczką biura zleceń. I tu dopiero okazało się, że najprawdopodobniej telefon mój, zamawiający budzenie przerwał siodki i krzypiący sen dyżurującej telefonistki — nie został bowiem nigdzie zanotowany. Zostałem wprowadzony przez kierowniczkę biura przeproszony, ale nie dało mi to pełnej satysfakcji. Tym bardziej, że był to już trzeci kolejny wypadek takiej „nawalańki”.

Moralów z tej historii wypływa kilka, najważniejsze jest jednak wskazanie praktyczne: korzystając z usług biura zleceń, na wszelki wypadek notujemy numer telefonistki odbierającej nasz telefon.



uczestników. Miło nam przy okazji wspomnieć, że w tej wielkiej imprezie nasze miasto ma już „złoty” osiągnięcia. Drużyna XXVII LO podczas ubiegłorocznej olimpiady zajęła I miejsce w ogólnopolskich eliminacjach. Życzymy powtórzenia sukcesu a wszystkim chętnym przypominamy — pierwsza eliminacja 15 listopada.

WOJSKOWY TEATRZYK STUDENCKI

Pisaliśmy niedawno o przygotowywanym przez S.T.R. „Verbum” programie z okazji dwudziestolecia Ludowego Wojska Polskiego i 5-lecia Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Dzisiaj młodzi „wamowcy” są już po premierze i kilkunastu spektaklach w Łodzi, Piotrkowie, Bełchatowie i Tomaszowie. Program teatryku „Verbum” pt. „Wojsko, wojsko” cieszy się wszędzie dużym powodzeniem. Jeszcze raz błędna okazała się teza, że publiczność chce tylko wesołej, lekkiej rozrywki. Nieprawda. Poważny, pełen liryzmu poetycki montaż związany z tematyką lat 1939-1945 został głęboko odczytany przez widzów. „Wamowcy” zrezygnowali z popularnych tekstów poetyckich. Sięgnęli do mało znanych wierszy Janczarskiego, Timofiejewa, Szenwalda, Ważyka. Efekt znakomity. Ekspresję tematu podnosi metafora mało znanej a doskonałej poezji. Poetycki montaż jest pierwszą częścią „wamowskiego” programu. Część druga, to obrazki z historii wojska polskiego. Epoka napoleońska, dwudziestolecie, okupacja. Lenin, współczesność. Dwie godziny humoru i dobrze inscenizowanych piosenek wojskowych. Widz dostaje szeroki asortyment pięknych, zapomnianych już dzisiaj melodii i tekstów z „wojskowego” repertuaru. Programem swym studencki WAM bawią, wychowują i uczą widza. „Ty myślisz, że to legenda? Nie. Zapamiętaj sobie. Mała miejscowość w ZSRR — Sielec, 1943 r.” — kończy narrator poetycki montaż. Sądymy, że program S.T.R. „Verbum” powinno obejrzeć jak najwięcej młodzieży szkolnej. Doskonała po-

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

Już „Balladyna” w przedstawieniu dyplomowym PWST wskazywała, że młoda absolwentka tej uczelni osiągać będzie wiele sukcesów na deskach sceny.

Udany debiut w Teatrze Jaracza w „Człowieku z teką” (Goga), następnie doskonała, stylowa Emilia Gollati-Lessinga.

Do ról, które na pewno pozostały w pamięci widzów należy Katarzyna w „Widoku z mostu”, w „Nigdy nie można przewidzieć”; Pasierbica w „6 postaciach scenicznych...”. Po 8 pracowitych sezonach w Teatrze Jaracza, Jadwiga Siennicka przeszła do Teatru Powszechnego, gdzie w „Golemie” Zb. Nienackiego kreuje 2 ciekawie zarysowane role — Luizy i Kurtizany.

Jadwiga Siennicka często uczestniczy w przedstawieniach Teatru Telewizji — np. grała Karolę w „Spadku”, Marię — w „Tranzycie”, Markietankę — w „Alkadzie z Zalamei”.

Tekst i zdjęcie

GERARD PUCIATO

Jadwiga SIENNICKA



główna lekcja z historii Ludowego Wojska Polskiego. „Wamowski” program reżyserowała M. Stusińska, kierownictwo lit. J. Witczak. Życzymy „wamowcom” dalszych sukcesów i ambitnych realizacji. „Verbum” jest pierwszym w kraju teatrykiem przy uczelni wojskowej. Był nie zawiódł...

Szkolna marynarka w „Gdyni”

„Gdzie by się tu zakotwiczyć” — myśli w Łodzi niejedni młodzi ludzie, którzy rozmyślnie zmylił strony świata i drogę do szkoły. „Zakotwiczyć” tzn. szczęśliwie dobrnąć do spokojnej przystani. Spokojna przystań to port, a port, to wiadomo — Gdynia.

W dni, w które wyświetlano w „Gdyni” film pt. „Zawrót głowy” można było naprawdę dostać zawrotu głowy. Przez „Gdynię” przelewała się wysoka fala wagarowiczów. Prawdziwy sztorm na kase.

Nie mam pretensji do celników tego portu, to znaczy do bileterów. Oni są często bezbradni. Młodzi ludzie nie pozbawieni są bowiem sprytu — zdejmują z głów szkolne czapki, a tarcze z rękawów szkolnych marynarek.

Potem wykupują ulgowe bilety na szkolną legitymację. I tu „celnicy” są bezsilni — zanika bowiem dobry zwyczaj oznaczania legitymacji literami „P” czy „R” i nie sposób się polapać czy delikwent uczęszcza do szkoły rano czy po południu.

Może warto by zmyć ton w sielskiej przystani i w ten spokojny port zapuścić sieci. Ponieważ te i owe władze uważają się od tego zwolnione — proponuję sprowadzić rybaków z „Dalmacji”.

Dowcipnisie

Jest w Łodzi na Chojnach mała ulica o nazwie Kapliczna. Owa ulica została w połowie września w związku z przeprowadzonymi robotami rozkopania Ranga ulicy Kaplicznej ostatnio się podniosła — ma stać się ogniwem łączącym ulicę Kilińskiego i Gagarina.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jedno „ale”. Otóż przy wjeździe na rozkopaną ulicę ustawiono znak zakazu ruchu z napisem: „Nie dotyczy pojazdów w celach gospodarczych”. Mieszkańcy ul. Kaplicznej kłną w tzw. żywy kamień autorów szampańskiego napisu. Bowiem na rozkopaną ulicę nie mogą wjechać ani wozy z węgłem, ani samochody MPO po odpady i śmieci. Co na to Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna? Niekiedy mniej odporni nerwowo, a także wężowo mieszkańcy ul. Kaplicznej wysypali śmieci do wykopanego wzdłuż ulicy rowu. Wtedy spotkali się z błyskawiczną reakcją „ktoś” z kierownictwa robót zaczął grozić sądem. Sytuacja, która się wytworzyła, nie należy do najprzyjemniejszych.

Należy więc oczekiwać nowych meldunków z placu boju.



do druku podał
50. Chmurska

ZMARTYCHWSTALI *

Młodo zmarły reżyser, artysta i dyrektor, Feliks Benda, dał w Toruniu przedstawienie „Hamleta” na wolnym powietrzu. Benda wprowadził na scenę żołnierzy i autentyczne konie. Żołnierze, poprzębierani w zbroje rycerskie Fortenbrasa, wjeżdżają na koniach. Niestety, płonące pochodnie i orkiestra tak przestraszyły zwierzęta, że zaczęły się ploszyć. I wówczas wszystkie trupy: Hamlet, Laertes, Krowa, Król, zerwały się na równe nogi i uciekły czym prędzej za kulisy, nikt nie miał ochoty dać się poratować przez spłoszone konie.

* Jerzy Holer — Anegdoty teatralne.

Zdarzyło się, że do kancelarii teatralnej przysłał piękny bukiet kwiatów dla jednego z aktorów. Karteczka wizytowa odpięta się od bukietu. Został tylko adres. Sekretarz był w kłopotcie, że aktor ów nie będzie wiedział od kogo otrzymał kwiaty.

Niech się pan nie przejmie — wrócił będący tam rymałektora. — On będzie wiedział od kogo, bo sam go sobie posłał.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 36, Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”.
Druk: RSW „Prasa” Łódź, Zwirki 17.
Zam. 3443 XI 43. K-4

ZDZISŁAW KONICKI

TRZECI CO PRZETRWAŁ...

Chlubne są tradycje działalności społecznej i kulturalnej polskiego rzemiosła w fabrycznym mieście Łodzi, sięgają bowiem końca ubiegłego wieku. Najpierw organizowano różne towarzystwa śpiewacze i dramatyczne. Szło to jednak opornie, bo i w śpiewie polskim można było przemycić jakąś narodową czy społeczną myśl i idee, a to nie było dozwolone.

W 1900 roku powstało w Łodzi Towarzystwo Rzemieślniczo-

Śpiewacze „Lira”, a w 1909 r. utworzyło się przy nim „Kółko dramatyczne”. W dwa lata później, w dniu 22 lutego, powołano do życia (po Warszawie, Katowicach, Poznaniu) — Towarzystwo Rzemieślnicze „Resursa” w Łodzi. Jak prężnie organizacyjnie było rzemiosło łódzkie, mówi fakt, iż już w 1912 roku było współorganizatorem wielkiej ogólnokrajowej wystawy rzemieślniczo-przemysłowej, która odbyła się na terenie dzisiejszego par-

ku im. Staszica. W parku rzemieślnicy łódzcy wystawili wówczas pomnik łódzkiego robotnika (zniszczony przez Niemców w 1939 r.).

Wiosną zaś 1913 roku odbyło się uroczyste otwarcie sekcji sportowej „Resursy” (sekcji kolarskiej), która dała początek dzisiejszemu Rzemieślniczemu Klubowi Sportowemu „Resursa” w Łodzi. Grupa kolarzy łódzkich, rzemieślników „postanowiła krzewić zamiłowanie do sportu, który da ro-

botnikom łódzkim na pewno wiele korzyści”, jak czytamy w starej Złotej Księdze klubowej.

Wycieczki turystyczno-krajoznawcze w okolice Łodzi, wysiłki punktowane na starej szosie z Lagiewnik do Strykowa, rajdy kolarskie po Łodzi, do Warszawy czy Krakowa — były to sprawy codzienne prawie ówczesnej sekcji sportowej „Resursy”, która jakkolwiek nie była samodzielny klubem, ale tak właśnie była traktowana przez inne stowarzyszenia sportowe, jak starszy od niej LKS czy RTS „Widzew”.

„Resursa” była trzecim klubem polskim Łodzi, który przeżył dwie wojny światowe i zażywał się dobrze dla podniesienia kultury fizycznej i sportu wśród kilkunastotysięcznej rzeszy rzemieślników łódzkich. Dodajmy tu też, że właśnie na

przykładzie sekcji kolarskiej „Resursy” organizowano także sekcje dopiero później w LKS czy na Widzewie...

Wśród działaczy rzemiosła łódzkiego (do którego dawniej zaliczano również Cech Tkaczy i Suknienników), zasłużonych dla tego klubu i sportowej Łodzi, spotykamy takie nazwiska: W. Jaguś, A. Uliński, J. Skotłowski, F. Bujala, A. Gabrych, St. Janicki, H. Gonsik, Fr. Supernak, S. Skarżyński, E. Urbanowicz czy M. i L. Pietraszewscy...

Dla powojennego, obecnego życia ruchu sportowego, wśród rzemieślników łódzkich zasłużył się na pewno tacy działacze, jak: S. Glazer, J. Kulik, M. Kawalek, K. Zielań, Z. Masłowski, K. Fidała, J. Osrodek, Bonkowski i wielu innych. 35 działaczy i sportowców odzna-

czono niedawno na uroczystej akademii klubowej z okazji jubileuszu 50-lecia RK „Resursa” złotymi odznakami klubu.

Bogaty kalendarz imprez „Roku Jubileuszowego” klubu dobiega końca. Zamknąć go ma listopadowy „Rajd Motorowy po Łodzi”, zorganizowany przez Sekcję Motorową wspólnie z TPL i PTT-K.

Obecnie „Resursa” posiada 4123 członków zwyczajnych, którymi są wszyscy rzemieślnicy łódzcy, 4 członków honorowych, oraz 375 członków rzeczywistych, sprawujących wiele dywcyjnych uprawnień i turystycznych, a także ma 12 członków wspierających, którymi są organizacje samorządu gospodarczego rzemiosła (Izba Rzemieślnicza, cechy, spółdzielnie rzemieślnicze, instytucje) — patronujące wszelkim poczynaniom Klubu.